Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 8. Lutego 1880 r. Tom X.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 6.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

KLEMENS BORUTA

przez

W. OKOŃSKIEGO.

Nędza należy do tych niewielu szczęśliwych wiosek Górnego Szlązka, które dotąd zachowały swą polską nazwę. Wyznać jednak trzeba, że ani landrat, ani prezes rejencji, ani nawet minister spraw wewnętrznych, w połączeniu z ministrem sprawiedliwości, nie kusili się o przemianę jej rodzinnego imienia. Podczas gdy Raciborze, Lublinice, Olszowy i inne miejscowości otrzymały, bodaj w pisowni, przymusowy chrzest germański, *Nędza* pozostała nietknięta. Nie można bowiem liczyć tego za szkodliwy uszczerbek, że boska mowa landratów, nie znajdując w swem abecadle samogłoski nosowej, zastąpiła ją spółgłoską płynną i z Nędzy zrobiła *Nendzę*. Ludowi natomiast nawet królewsko-ziemiańska rejencja pozostawiła zupełne i niczem nieograniczone prawo używania *Nędzy*.

Naturalnie, korzystał z tego prawa i Klemens Boruta, którego ród od wieku blisko mieszkał w Nędzy i który był najlepszem świadectwem wiarogodności nazwiska wioski. W rodzie tym bowiem umarło z głodu piętnastu członków, najsławniejszym jednakże między nimi był Wawrzyniec Boruta, ojciec Klemensa. Kiedy w r. 1847 nawiedził Nędzę głód, Wawrzyniec, podówczas wdowiec, bez środków żywności i roboty, łapał nocą pod strzechami wróble, a w dnie łowił na sidła wrony, których mięsem karmił dziesięcioletniego syna. Gdy nareszcie wróbli nie stało, a wrony zmądrzały, zrozpaczony wyrobnik, nie mogąc przez dwa dni znaleść dla dziecka pożywienia, postanowił się powiesić. Przechodząc wszakże koło zabudowań dworskich, spostrzegł na śniegu odartego ze skóry lisa. Boruta wziął mięso do domu, upiekł je, a ponieważ sam od kilku dni nic nie miał w ustach, a dziecko spało, zjadł więc skwapliwie naprzód kawałek pieczeni. Po chwili uczuł gwałtowne boleści. Przekonany, że lis był strychniną otruty, wyrzucił mięso, wybiegł za chatę, położył się na ziemi i zaczął jeść gwałtownie śnieg z ziemią w nadziei, że się tem uleczy. Chłopiec, zbudziwszy się w nocy, zaczął krzyczeć i wołać tatula, ale tatulo nie przyszedł. Na drugi dzień znaleziono go martwym za chałupą. Ponieważ nie przypuszczano, ażeby w jego żołądku coś być mogło, więc sąsiedzi zdecydowali, że zmarzł. Na opinii tej poprzestał lekarz obwodowy i my również zgodzić się na nią musimy.

Po śmierci ojca przyjaciel jego, owczarz dworski, Szymon Brzost, wziął Klemensa do owczarni i tam go przezimował, dzieląc się strawą. Czasem było jadła skąpo, ale czasem, zwłaszcza ku wiośnie, gdy owce zdychać zaczęły, Brzost dorzynał je i wyprawiał sobie z wychowańcem sutą biesiadę. Zgromadziwszy w lecie zapas korzeni, plótł on zwykle zimą bardzo ładne koszyki. Chłopiec tak szybko wyuczył się przy nim tej sztuki, że zarobił kilka talarów, za które kupił sobie dymkowy surdut, spodnie i dwie koszule. Gdy owce wyszły w pole, a nadewszystko, gdy zdychać przestały, stary rzekł do Klemensa:

— No, spróbuj poszukać sobie chleba. Jak ci bieda dobodzie, przyjdź do mnie.

Klemens w swojem nowem dymkowem ubraniu wyszedł płacząc, powłóczył się po wsi, odnowił z kilku chłopcami znajomość i wieczorem stanął w owczarni.

— A, hultaj jesteś — zawołał rozgniewany stary — ty myślisz, że tu przy mnie, jak Burek, będziesz ciągle leżał? Ruszaj mi w świat!

Nie tyle rozkaz, ile owczarski bat, który Brzost ze ściany porwał, zdmuchnął chłopca z podwórza jak świecę. Było wszakże już ciemno; potuławszy się więc za stodołami, gdy noc zapadła, przyległ do sterty słomy i zasnął. Ale nazajutrz, chociaż stary bardzo rano wstał, już Klemensa nie było. Gdzie się podział? Pytał owczarz ludzi we wsi, pytał przyjezdnych, ten i ów spotkał chłopca, ale wszyscy objaśnić nie umieli.

— Zawzięty kaduk! — mruczał stary. — Szelma, ani piśnie, jak gdybym go nie przezimował. Może zamarł gdzie? Nie przyszedłby-to, nie pogadał, i zjadłby coś, oto tłustego barana dorżnąłem. Psy pożrą...

Pomimo, że dorzynanie baranów w Nędzy musiało szeroko i ponętnie rozbrzmieć w okolicy, młody Boruta się nie pojawiał. Brzost długo jeszcze dowiadywał się, nareszcie, machnąwszy ręką, całkiem o *kerlu* mówić przestał. Upłynęło lat siedm. Jednego dnia parobek dworski, spotkawszy owczarza, zagadnął go:

— To i mamy napowrót Klimka.

— Jakiego Klimka?

— No, juści Borutę, tego co z wami zimował.

— Jest tutaj?

— A jaki *fryc!* Nie poznalibyście go. Zgodził się do pługa.

Brzost nic nie odrzekł i wrócił do owczarni.

Położywszy się na słomie, zaczął rozmyślać. Doznał jakiegoś przyjemnego dreszczu, ale zarazem obudziły się w nim uspione uczucia gniewu.

— Dam po łbie batem, jak tu zajrzy — szepnął.

W tej chwili do owczarni wszedł Klemens. Rzeczywiście, wyglądał elegancko. W czarnej kamizelce, z której wysuwały się rękawy czerwonej koszuli dymowej, w długich nowych butach, w świeżej czapce niebieskiej, osadzonej na wytłuszczonych

włosach, z cygarem w ustach, nad któremi, pod przypłaszczonym nosem, zaczął się wysypywać jasny wąs, wszedł on śmiało i stanął na progu.

— *Morgen* — zawołał junacko.

— A to co? — krzyknął Brzost — nie widzisz, że tu słoma — z cygarem wchodzisz!

— Toć je w gębę wetknąłem, nie w snopek — odrzekł Boruta, nadrabiając miną.

— Pójdź ztąd, żebym go głębiej nie wetknął.

Klemens wyjął z ust cygaro, oplul je i zgaszone schował do kieszeni.

— Czemuż to dziadek — rzekł, zbliżając się łagodnie — tak mnie wypędza, jak wilka? Przecież wam drzazeg za paznogcie nie biłem. A że poszedłem w świat, toście kazali.

— Kazali! — krzyknął stary — jużci całe życie w torbie nosić cię nie mogłem, żebyś z niej chleb wyjadał, a dopóki trzeba było, tom od miski nie odganiał.

— Albo to mówię? Ale kiedy musiałem swojej miski poszukać, to musiałem.

— O, ja wiem, zostałeś panem i dlatego nie chciałeś się nawet dowiedzieć, czy stary nie zdechł gdzie pod krzakiem. Jużci, pan taki — to nie Burek, który zaraz przyleci, jak krzyknę: do nogi. Pal djabli głupich.

— Ja, pan? bo po siedmiu latach mam czem skórę przyodziać. Nie gadalibyście po próżnicy. Żebyście wiedzieli, po jakiej to ja drabinie lazłem, zanim wylazłem, ile się szczeblów załamało...

— Zkądże miałem wiedzieć — rzekł, widocznie ugłaskany Brzost, podciągając za uszy skurczoną u buta cholewę.

— O, może i wam w młodości tak bieda nie dobodła — mówił z westchnieniem Boruta, usiadłszy na progu. Przez miesiąc ciepłego nie skosztowałem, potem ledwie kilka groszy na dzień w kopalni wydrapałem, w fabryce dali zarobek, póki nie stanęła, z banhofu za przespanie wypędzili, wziąłem się do służby na folwarku i ot, co na mnie, to całe z niej bogactwo.

— Ciężko, ciężko — zauważył Brzost już bez śladu złości.

Klemens nie potrzebował wcale być przenikliwym psychologiem, ażeby z ostatnich słów zgadnąć, że stary jeżyć się przestał. Podsunął się więc bliżej do niego, wyjął z kieszeni zgaszone cygaro i ssąc je, roztoczył przed oczyma Brzosta całe pasmo swych siedmioletnich przygód. Były w nich wszystkie nici, z jakich się zwykle tka życie biedaka. Słuchając tej powszedniej doli sierocej, stary przerywał ją ciągle radami mądrości po szkodzie:

— Nie byłoż ci - zawołał wreszcie — trzymać się kopalni!

— A toż trzymałem się - odrzekł Boruta — póki kawał węgla się nie oderwał i nosa mi nie przetrącił.

Brzost spojrzał na swego wychowańca i dostrzegł widoczne przełamanie chrząstki nosowej.

— Długo chorowałeś?

— Ze dwa dni krew buchała, ale to była furda. Jak mi, panie, maszyna ten oto palec odgryzła, to świerkało w oczach, świerkało!

Owczarz ze zdziwieniem patrzał na rękę Klemensa, u której istotnie palca brakło.

— A tu głód, bo robić nie mogłem. Poszedłem do apteki po maść, to feniga nie ustąpił. Myślałem, że sobie łeb ukręcę. I gdyby tyle! Ale raz przyszedłem do fabryki, stoję, a psi wnuk, Born, puszczał żelazo w rynnę; kiedy nie pryśnie, *durch* do kości zbój przepalił mi nogę.

Zdjął but i odsłonił na łydce szeroką szramę po oparzeniu.

To cię opadło ze wszystkich stron — mruknął Brzost i zaczął czegoś szukać w słomie pod poduszką posłania.

— A no! — rzekł Boruta — może przecie koniec. Mnie i świdra djabeł w ręce nie utrzyma, bo mu się wykręcę.

Podczas gdy zaciekawiony poszukiwaniami pana, Burek powstał i zaczął mu przypatrywać się, kręcąc ogonem, niemniej zaciekawione obecnością Boruty owce zbliżyły się w gromadce. Klemens, chcąc je za tę uwagę wynagrodzić, podał wysuniętemu naprzód skopowi niedopałek cygara. Baran ujął je zębami, zgryzł i plując odbiegł, a spłoszone jego ucieczką stado bojaźliwie w kąt się stłoczyło.

— Myślałeś, że piernik — rzekł śmiejąc się Boruta i w przystępie wesołości porwał za ogon Burka, okręciwszy go kilka razy w koło. Pies zaskowyczał i zaczął szczekać. Przestraszone owce jeszcze gwałtowniej skupiły się w kącie.

— Nie pójdziesz ty darmojadzie! — krzyczał owczarz na Burka — nie uwzględniwszy jego słusznej racji gniewu.

Pies tem smutniej ogon spuścił, że jego pan wyjął ze słomy butelkę, co mniejsza, a zarazem kawał gotowanej baraniny, owiniętej w skórę ze starej torby, co dla kudłatego towarzysza obojętnem nigdy nie było i teraz być nie mogło.

— Na zdrowie twoje — rzekł Brzost, przykładając do ust butelkę, z której obficie pociągnął.

— Na wasze — odpowiedział Klemens i pożądliwie zanurzył w gardło pokrzepiającą szyjkę.

— Ostra! - rzekł przymrużając oczy.

— Trzmielówka — mówił stary z widocznem zadowoleniem. Sam sobie ją przyprawiam. Biorę okowitę od Katzera, wlewam na korę trzmielinową i tak stoi tydzień, potem kładę trochę głogu, macierzanki, rozchodniku, dębowych gałek, pokrzywiego korzonka i cynamonu.

— Ho! ho! — podziwiał Boruta.

— Dobrze łyknąć, to każdą chorobę wystraszy. Albo to raz i sobie i drugim kości prostowałem. No, zjedz kawałek mięsa, wczoraj dorznąłem — motylica precz dusi.

— Co ma tłusty połeć smarować, lepiej, że ludziom da się pożywić. Czy sam pan często tu przyjeżdża?

— Ale zkąd. Siedzi w Berlinie, albo nad morzem. A chociaż przyjedzie, to na tyle folwarków czasu mu nie wystarczy. Jużci zajrzy, powącha i dalej. Tu i nie ma gdzie mieszkać. Dwór stary, trzy pokoje lepsze, to rządca mieszka.

— Podobno okrutny Niemiec, ten rządca.

— Ludzkiego słowa nie da. Krzyczy, rozgania, żebyś ze skóry wylazł, to jeszcze mu za mało. Dziedzic, mówią, niezły człowiek. Ale jak przyjedzie, Klein nikogo nie puszcza, a choć uda się komu dostać, póty będzie wymyślał, że wszyscy gałgany, próżniaki, polskie szkodniki, aż pana przekona. Wyjrzyj, czy tam kto ucha nie wyciąga. Nie?

— Nie ma nikogo.

— Albo i ze mną. Dwanaście lat tu jestem i dobrze było. Jak on nastał, zaraz zakrzyczał, żem głupi, niedołężny, że mnie wygoni. Ot tak. A, niech go robaki! Do ciebie, Klimku.

— Czuć macierzankę — rzekł Boruta, smakując.

— Jakby człowieka połechtało — prawda? Choć płaczesz, wypijesz kropkę, zaraz śmiać się musisz. Ciebie przechodzi? — bo mnie już podbiera. Kisiel, ten, wiesz, z pod kuźni, robi jakąś siarkówkę, ale nie umywała się, chociaż na nosaciznę niezła. Ho, ho! niedoczekanie, żeby moją trzmielówkę kto dobrał. Owczarz zna zioła. Przychodzą do mnie z kieliszkami, a ja tylko po kropelce, po kropelce i za najmniejszą odrobinę płać, bo spirytus w rzece nie płynie, a cynamon na miedzy nie rośnie. Burek, masz kanaljo kość i ty podjedz. Na starą zgodę wypijemy jeszcze.

Obaj znowu pociągnęli kolejno z butelki, na której dnie nie wiele zostało.

— Jak umierzył — rzekł Brzost — trzymając flaszkę do światła. Mamy gęby równe, jak kieliszki, ha, ha, ha! — jak kieliszki — półkwartki! Mnie dwudziestu zębów brak, to i gęba powinna być większa. Dwa przeszłego roku sobie wybiłem. Szelma Burek, wypłoszył w polu małą kuropatwę, ja za nią, on mi pod nogi, potknąłem się i rznąłem zębami o kamień. Poszedł psie, poszedł Klein, a zbój! *Weg, weg...* owce zarosił! Cóż to one kopyt nie mają, w butach chodzą lepszych niż ja, bo dziur nie mają. Hu — ha!

— Hu-ha! — powtórzył, zataczając błędnym wzrokiem Boruta i zaspiewał:

Moja gąsko, stąpaj wąsko...
Moja sroko, chodź szeroko.

A, żeby tak kapela, tupnąłbym...

— Ba! — rozśmiał się Brzost, skłaniając głowę na posłanie i przymykając radośnie załzawione oczy.

— Pójdziemy do karczmy, dziewek nałapiemy po drodze, jeśli nie będzie muzyki, to będziemy szczękać szklankami. A gardło od czego? Od picia — to będę pił, od spiewania — będę spiewał.

Moja gąsko, stąpaj wąsko...

— Moja! — wtórował Brzost, dmuchając przez nastroszone wąsy.

— U nas było dziewczyn huk, tylko lucyper nie pozwalał. Szymonie, w wasze ręce.

— W ręce! — odbił echem owczarz, ale ująwszy butelkę, nie mógł ją do ust podnieść i na nodze oparł.

— Tam na tańcu — mówił, opierając

się o Brzostka Klemens — podbiłeś się, tu i nagniotek nie zaboli.

Przebieraj, przebieraj,
Żebym ja ci nie przebrał...

— Brał! — szepnął owczarz chrapliwie.

— Born nie wyfrunie mi z garści — bełkotał Boruta — ja go jeszcze ścisnę!

Ścisnąłem Marysię
Że aż mi się zgięła...

Aa! Burek, psia wiara! No, Brzoście, pójdziemy do karczmy; prawa w górę, lewa na dół...

Moja gąsko...

Już Brzost nie mógł odpowiedzieć na to wezwanie, bo zasnął. I Boruta również rozpocząwszy daremnie kilka śpiewek, zapadł w sen głęboki. Po chwili, ośmielony milczeniem Burek, zbliżył się i zabrawszy resztę baraniny, odszedł na bok. Zwolna po owczarni zaczęła się rozchodzić i mięszać z wyziewem nawozu ostra woń trzmielówki, którą Brzost, wypuściwszy z ręki butelkę, obok siebie wylał. Zdziwione owce podsunęły się gromadką do śpiących, ale Burek, który podejrzywał je o złe zamiary względem pana, a nadewszystko względem ukrytej w posłaniu baraniny, odpędził natychmiast warczeniem. Kilka wszakże odważniejszych skopów znowu wróciło, jeden nawet zaczął obwąchiwać miejsce, z którego rozchodziła się woń trzmielówki, ale cofnął się, kichnął i pokręcił nosem, jak gdyby z Borutą mówił:

— Czuć cynamon!

— Gdy Burek, naśladując pana, syt baraniny, również usnął, gdy odstraszone jego warczeniem i wonią trzmielówki owce spokojnie legły, w owczarni zapanowała uroczysta cisza. Swobodnie też przez otwarte drzwi rozlewał się po słomie jasny potok wrześniowego światła. Na podwórzu również nie odzywał się żaden hałas, jak gdyby dla nieprzerwania błogiej drzemki dwu ukołysanych przez trzmielówkę przyjaciół.

Nagle na smudze światła u progu owczarni odbił się jakiś cień. W progu jej stanął niskiego wzrostu, dobrej tuszy, w kurtce i dużym kapeluszu młody mężczyzna. Rozejrzał się na około, zatrzymał wzrok na śpiących, wywinął wzgardliwie grube wargi, nałożył binokle i mruczał.

Tak nie naigrawałby się ze śpiących Jowisz, ale naigrawał się Gerhard Klein.

(C. d. n.)

PODRÓŻ MAJORA SERPA PINTO
przez
POŁUDNIOWĄ AFRYKĘ.

Od wieków są Portugalczycy w posiadaniu większej części wschodniego i zachodniego nadbrzeża równikowej części Afryki południowej, mimo że z ich strony żadne szczególniejsze wysilenia przedsiębrane nie były ku odkryciu wnętrza kontynentu. Niektórzy ich uczeni współcześni z patrjotycznym zapałem zwrócili uwagę na to że, podziękować właśnie należy Portugalczykom za najpierwsze wiadomości o wnętrzu południowej Afryki; już bowiem w 16 w. przebywali ich kupcy i misjonarze łożysko rzeki Congo, ale wówczas nie wyrosły odpowiednie owoce dla topografji, ponieważ notatki podróżników tyczyły się tylko przygód i osobliwości. Sprawozdania nawet Pereira i Lacerda, Gamitty i Monteira o ich podróżach do Cazemby są prawie bez naukowej treści. Skutkiem odkryć Liwingstona, Camerona i Stanleya i z powodu z różnych stron robionych wyrzutów rządowi portugalskiemu, że w własnych posiadłościach, obcym, a mianowicie Anglikom, odkrycia robić pozwala, obudziła się i w Portugallji żądza sławy, żądza wzięcia udziału w zapasach ludów, w sprawie odkryć Afryki.

Na wniosek lizbońskiego towarzystwa geograficznego i stałej komisji geograficznej w ministerstwie marynarki, postanowionem zostało w r. 1877 ze strony rządu wysłanie wyprawy dla której izby z ochotą potrzebne fundusze wyznaczyły. Jako cel główny poruczono tej ekspedycji zbadanie porzecza Zambesi i Congo. Wyprawa ta podzieliła się w Bihe na dwa oddziały, z których jeden pod rozkazami pp. Brito Capello i Ivens ku północy do Cuango wyruszył, gdy równocześnie drugi pod dowództwem Serpa Pinto zwrócił się ku Zambesie. Po wielu trudach i wielu przebytych niebezpieczeństwach dotarł śmiały S. Pinto, szczęśliwszy od swoich kolegów, dnia 12. lutego do Pretorji.

Wróciwszy do Europy miał on odczyty w Lizbonie i Paryżu, w których dawał ogólny pogląd na wyniki swoich badań. Nim jednak będziemy mogli wyrobić sobie dokładne wyobrażenie o hydrograficznych stosunkach, konfiguracji terenu itd. tych części kontynentu afrykańskiego, które on objechał, musimy czekać na szczegółowe sprawozdanie podróżnika. Na teraz ograniczamy się na skreśleniu ekspedycji jego o tyle, o ile ta z dość niedokładnych sprawozdań jest znaną.

Alexander, Albert da Rocha Serpa Pinto urodził się 20. kwietnia 1835 roku w Tendai w powiecie Vizeu. W roku 1855 wstąpił do szkoły wojskowej i został w r. 1864 podporucznikiem. W r. 1869 brał udział i odznaczył się w wyprawie wojennej przeciw naczelnikowi powstańców Bonga w okolicy Zambesi, przy której to sposobności zbadał tę rzekę aż do wodospadu Wiktorji. Po ukończeniu kampanii przedsięwziął jeszcze wyprawę myśliwską ku Schire i Nyassa, zwiedził Comory i Seychelle i wrócił przez Goa do Europy. Z powodu naukowego uzdolnienia i znajomości narzeczy afrykańskich był jego współudział w wyprawach naukowych bardzo pożądany. Wyruszyszy w drogę spotkał się Serpa Pinto w sierpniu 1877 przy wylądowaniu na zachodnich wybrzeżach Afryki, u ujścia rzeki Congo, ze Stanleyem, który właśnie ukończył podróż po czarnym kontynencie. Daremnie jednak Stanley usiłował skłonić towarzyszących mu ludzi, aby podróż ku wybrzeżom wschodnim kraju, wspólnie z wyprawą portugalską lądem odbyli.

Po zwyciężeniu rozlicznych trudności wyruszyli wreszcie Portugalczycy sami w listopadzie 1877 r. wybrzeżem i dotarli w marcu 1878 drogą dotychczas prawie nie znaną do Bihe. Ztąd zwrócił się Serpa Pinto w maju przez okolice źródeł Quanza i Cubango ku Cuando, głównemu ramieniu rzeki Zambesi, idąc drogą którą portugalski handlarz Silva Porto, w r. 1852 i 1853 przebywał. Dział wód tego systemu rzek jest prawie niewidoczny, ich źródła znajdują się na równinie Cangala, wzniesionej na 1700 metr. w tak bezpośredniej od siebie blizkości, że potrzeba zrobić jeszcze kilka kroków, aby pić wodę z tych różnych rzek, z których jedne wpadają do Atlantyku a drugie do oceanu Indyjskiego albo też gubią się w puszczy Kalahari.

Tutaj zrobił portugalski podróżnik odkrycie, które bliższego objaśnienia potrzebuje.

„Pewnego dnia spostrzegłem pomiędzy moimi posługaczami noszącemi ciężary, białego człowieka, należącego do całkiem nieznanej rasy. W południowej Afryce istnieje ludność biała, zowiąca się Cassequeres, których ciało jest nierównie bielsze od rasy kaukazkiej. Głowy mają pokryte krótkim i wełnistym włosem; kości policzkowe mocno wystające, a oczy kształtu chińskiego. Mężczyźni tego plemienia są nadzwyczajnie silni, tak że naprzykład strzała przez nich na słonia wypuszczona zagłębia się cała w jego ciele. Żywią się korzonkami i polowaniem i tylko w razie jeżeli to niedopisze, zawiązują stosunki z sąsiadami Ambuellasami, od których w zamian za kość słoniową dostają żywność. Są oni jedynym ludem afrykańskim, który się żywi pokarmami niegotowanymi.

Cassequeresy włóczą cię w grupach po 4 do 6 rodzin, w okolicy między Cuchi i Cubango. Być może że Mulaci południa, pochodzą ze zmięszania się rasy Cassequeresów z murzynami. Ci Mulaci stoją na wyższym stopniu kultury, gdyż przynajmniej pokarm swój gotują, są jednakże wszelkiej cywilizacji niechętni.“

Choćbyśmy o tem podaniu podróżnego nie chcieli wątpić, to jednak tylko bliższe i dokładniejsze wiadomości mogą nam objaśnić ten dziwny fakt, którego nie spostrzegł żaden z licznych portugalskich kupców, którzy podróżowali po tych okolicach.

Cuando rozwija się bardzo szybko w okazałą rzekę. Już kilka mil poniżej źródła, można na niej płynąć łodzią. Pomimo rozlicznych zakrętów, które utrudniają żeglugę, jest ona aż do swojego ujścia do Zambesi spławną tak samo jak większa część jego dopływów.

Ztąd dostał się Serpa Pinto przez okolice nadzwyczaj bagniste, wzdłuż rzeki Uhengo, do górnej Zambesy. Na kilka mil w około było wszystko wodą pokryte, nigdzie ani śladu zwierzyny, tak że wyprawa przez dni cztery nie miała żadnego pożywienia. Nareszcie zdobyto odrobinę prosa, ale zdarzyło się znowu, że przez czterdzieści ośm godzin nie było co jeść. Nawet żółwiów, które zwykle w bagnistej okolicy rzeki Zambesy w obfitości się znajdują, nie było tutaj. Za to krokodyle utrudniały ciągle podróż, tak że wielokrotnie musiano, dla przebycia jakiéj rzeki, budować formalne mosty. Wszelkie usiłowania zawiązania przyjacielskich stosunków z naczelnikami okolicznych plemion, nie miały żadnego skutku. Walcząc ciągle z głodem i z rozlicznemi trudnościami, dotarła nareszcie wyprawa do Lialui, w pobliżu ujścia Uhengo do rzeki Zambesy.

Gdy Serpa Pinto rozpoczął tu rokowania względem dalszej podróży, powstał nagle 6. sierpnia 1878. w nocy pożar w obozie, a równocześnie nastąpił gwałtowny napad krajowców. Kilku wiernych służących ukryło instrumenta, rękopisy i rzeczy najważniejsze, gdy reszta wyprawy skutecznie atak odpierała. Pomimo szczęśliwego wyniku walki, spostrzegł Serpa Pinto

dnia następnego, że go większa część towarzyszy opuściła.

Z obawy przed podobnymi dalszymi napadami, uciekło wielu posługaczy, starając się dostać do domu, co im się jednakże nie powiodło, jak się bowiem później przekonano, żaden z nich nie powrócił. Tylko bardzo mała garstka wiernych pozostała przy Serpa Pinto. Ta dezercja musiała naturalnie na dalszy przebieg wyprawy ważny wpływ wywrzeć. Jakkolwiek Stanley odradzał, aby nie starano się dostać do Chuculumbessów, którzy tak przeciw Europejczykom jak i Arabom wrogo występują, nie porzucał Serpa Pinto myśli zbadania tego territorjum i dostania się do Cafuque, rzeki pobocznej średniej Zambesy. Od tego planu musiał teraz naturalnie odstąpić, gdyż nie mógł nawet myśleć, aby z tą garstką ludzi, która przy nim pozostała, przebijać się przez kraj nieprzyjacielski. Pod Lialui założył on ufortyfikowany obóz, w którym przebywał tak długo, dokąd od naczelników plemion sąsiednich nie uzyskał pozwolenia dalszej podróży — a nie mogąc wyruszyć na wschód, obrał drogę ku południowi, wzdłuż Zambesy, którą przebył częściowo na statku, podobnie, jak Livingston w r. 1854 i r. 1855. Serpa Pinto podaje nam często nazwy spotykanych na tej drodze ludów, miejscowości, rzek i. t. d. zupełnie odmiennie, łatwo to jednak wytłumaczyć, jeżeli się zważy, że po części nazwy miejscowości zmieniają się tam ze zmianą naczelników plemion, a powtóre, że raz spisywał te nazwy Szkot, a drugi raz Portugalczyk.

Wybrzeża Zambesi są początkowo lesiste i obfitują w proso. Wnet jednak pojawia się bazalt, rzeka staje się coraz bystrzejszą i o licznych wodospadach, których naliczyła wyprawa 37 przed kataraktą Wiktorja. W ciągu półtorej godziny przebyto ich 30.

Wybrzeża rz. Zambesi są mocno zaludnione. Plemię Makololo, które tu spotykał jeszcze Liwingston, wymarło, jak to już wiemy z opisu biskupa Mackenzie, dr. Holuba i wielu innych, lub też zostało w rozlicznych walkach z innemi plemionami, mianowicie z wojownikami Makalakasami, wytępione. Pomimo wszelkich braków i dolegliwości, posuwał się Serpa Pinto dzielnie naprzód w nadziei, że w końcu w Linyanti nad rzeką Cuando blisko ujścia tejże do Zambesi będzie mógł dłuższy czas wypocząć w angielskiej stacji misyjnej, która tam się musiała znajdować. Niestety stacja była opuszczoną, gdyż misjonarze padli ofiarą klimatu. Natomiast spotkał się z angielskim badaczem przyrody dr. Brandshaw, który tu czynił poszukiwania dla muzeów angielskich. „Przedstawił mi się on w stanie bardzo opłakanym, ubrany tylko w pantalony i boso, jakkolwiek parę trzewików trzymał w ręku. Pomimo tej powierzchowności zaprezentował mi się z wielką powagą, wręczając swój londyński bilet wizytowy“. W towarzystwie tego Anglika, spędził Serpa Pinto, dni kilka. Musiał się nawet wspólnie z nim bronić przeciw napadowi krajowców.

W miejscu misjonarzy angielskich, znajdowała się w Gujannie, francuska rodzina misjonarska, nazwiskiem Coillard, składająca się z proboszcza, jego żony, i siostry, która naszego podróżnego, gdy dostał febry, po przyjacielsku w domu gościła i pielęgnowała.

Zaledwie się podniósł się z łóżka, zajął się Serpa Pinto nowemi badaniami, jakkolwiek pozbawiony był wszelkich środków, gdyż przy ostatnim napadzie krajowców postradał prawie całą resztę swego mienia. W zamiarze poznania rzeki Cubango, której źródła odkrył na zachód od Bihy, wyruszył ku Calahari; w której to podróży mimo niedostatków i wszelkich trudności, towarzyszyła mu francuska rodzina misjonarska. Nasamprzód odszukano na rzece Zambesi, wodospad Wiktorja, którego wysokość Serpa Pinto na 180 m. oznaczył.

Ztąd wyprawa dostała się drogą, która leży mniej więcej pośrodku między drogą Liwingstona i Mohra, do stacji missyjnej *Schoschong*.

Do Cubango Serpa Pinto już nie dotarł, mniema jednakże mimo to, co już i z jego telegramu wypływa, że rozwiązał „tajemnicę rzeki Cubango“. Na podstawie twierdzeń koczujących krajowców tej okolicy, jako też i mapy, którą jakiś murzyn dla niego narysował, oznaczył Pinto bieg rzeki Cubango, prawie tak samo jak go podała przed wieloma laty Petermana karta południowej Afryki. Tylko w tym punkcie, do którego Andersen w r. 1858. t. j. do Okavango w pośrodku rzeki Cubango dotarł, różni się mocno Serpa Pinto, twierdząc, że Cubango już o $1^1/_2{}^0$ więcej na północ zwraca się ku wschodowi.

Jakkolwiek Andersen nie był w możności czynienia dokładnych oznaczeń pozycyjnych, wolelibyśmy dać pierwszeństwo jego twierdzeniu niż wiadomościom zaczerpniętym od Murzynów.

Podług tych wiadomości nie ma żadnego związku między rzekami Cubango a Cuando. Jakkolwiek stałego związku między niemi nie ma, to przecież obydwa te systemy rzeczne zostają w pewnej perjodycznej łączności. Kwestji rzeki Cubango nie możemy na podstawie tych wiadomości uważać za rozstrzygniętą, gdyż biegu ani jednej ani drugiej rzeki jeszczenie zbadano, dlatego też nie jest wykluczoną możliwość, że Cubango w bezpośrednim z rzeką Cuando zostaje związku.

Prawdopodobnie dostarczą wyjaśnień, tak co do tej jak i innych wątpliwych kwestji, spodziewane obszerne sprawozdania o przebiegu niniejszej wyprawy.

W Schoschong rozstał się Serpa Pinto z rodziną Coillard, która dzieliła z nim wszelkie trudy tej podróży po pustyni, i dostał się znaną już drogą do Pretorji, stolicy Transvaal. Jakkolwiek skąpe notatki portugalskiego podróżnika, które dotychczas stały się dla nas przystępnemi, nie rozwiązują w zupełności licznych kwestji o stosunkach wewnętrznej Afryki, czego po pierwszych doniesieniach, mianowicie telegraficznych, po jego przybyciu do Pretorji, spodziewać się można było, to jednak dostarczył on nam pod wieloma względami cennych wyjaśnień, które spowodują znaczne zmiany na dotychczasowych kartach. Podnieść tu należy i tę okoliczność, że rezultaty te bardzo małym kosztem osiągnięto, gdyż cała wyprawa Serpa Pinto nie kosztowała 20.000 mark. Nowy to dowód, że nie zawsze potrzeba takich środków, jakiemi dysponował Stanley, aby wielkich rzeczy dokonać. Szczęśliwy wynik tej ekspedycji będzie dostatecznym bodźcem dla rządu portugalskiego, by nie ustawał w usiłowaniach dalszego badania swoich afrykańskich posiadłości.

KAROL GOUNOD

przez

Dr. M. G. Conrada.

Nie łatwo znaleźć można francuskiego kompozytora, któryby przez niemiecką krytykę barodziej był maltretowanym nad Gounod'a. Dziwna mięszanina marzycielstwa z wyrachowaniem, mistycymu z sensualizmem, kadzideł kościelnych z perfumą salonów, indyjskiego ascetyzmu z paryską swawolnością — słowem cały labirynt ostateczności najróżnorodniejszych złożył się na tę trudną do zrozumienia jedną postać muzyczną.

Trudność wszelako, przedstawiająca się w zrozumieniu tego mistrza, nie upoważnia bynajmniej żadnego z krytyków do ogólnikowego traktowania muzy jego i do brutalnego atakowania tego, co stanowi rdzeń jego indywidualności. Obryzgiwanie błotem tego, czego nie pojmujemy, dowodzi tylko małoduszności, która nigdy bezkarnie nikomu nie uchodzi, gdyż natura nie znosi, aby to, co jest prawdziwie wielkiem i pięknem, w fałszywem świetle zostało przedstawione.

August Reismann zkądinąd zasłużony muzyk i pisarz, zapędziwszy się w swych pesymistycznych, stronnych poglądach, pozwolił sobie podobne zdanie wyprowadzić o Gounodzie (*Dzieje powszechne muzyki*, III, 334). „Ubożej, niż w Meyerbeerze i Halevym, a w części i niesmaczniej przedstawiają się wielkie opery w Gounodzie. Za podstawę służą im przeważnie najoklepańsze frazesy melodji i najbardziej zużyte zwroty harmonijne, które zaledwie odświeżone są przepychem, błyskotkami i wszelkiemi możliwemi monstrualnościami wielkiej opery. Nie poświęcilibyśmy ani jednego słówka tej nowej fazie wielkich oper, gdyby *chwilowe* powodzenie Gounoda i w Niemczech, nie przypominały nam pewnej opery, która każdego Niemca powinna przejąć wstrętem. Francuz *śmiał* jedno z najwspanialszych dzieł sztuki niemieckiej, Goethego *Fausta*, często dosłownie zasilając się oryginałem, *zbezcześcić* muzyką, wobec której muzyka *Marty* Flotowa jest według nas szczytną. Podniosły ten idealny utwór unurzony został w błocie ordynarnej muzyki, tak dalece, że trudno zaiste doszukać się jego konturów w tem *splugawieniu*. A niemiecka publiczność zachwyca się nią, a pióra niemieckie starały się zyskać dla niej u nas prawo obywatelstwa. Jest to charakterystyczny rys nieograniczonego pomięszania pojęć, panującego u nas w dziedzinie tak zwanej krytyki artystycznej i zepsucia smaku...“

Jeżeliby niesłuszna, ale w pojęciu źródła, z którego powstała, niszcząca ta krytyka, miała zagrozić życiu Gounoda, powinien by on już dawno po wydanym okrzyku potępienia Reissmana zstąpić do grobu. Jednakże inaczej się stało. Gounod nie umarł wskutek złości i wstrętu tego, który wyrzekł te potępiające słowa. Jako dzielny sześćdziesięcioletni starzec — ur. się d. 17 czerwca 1818 r. w Paryżu — cieszy on się jeszcze po dzień dzisiejszy niezłomną siłą twórczości, a źródło jego muzycznej fantazji tryska wesoło i jasno, jak gdyby ponura praktyka życiowa i artystyczna nie naruszała jej w swym surowym pochodzie. Wesoło i jasno, powiadam, nie biorąc w rachubę owego mistycznego zasępienia, które od czasu do czasu niby welon przytłumia najdźwięczniejsze struny jego duszy. Skłonność do melancholijnego, religijnością owianego marzycielstwa, jest temu dziwnemu człowiekowi wrodzoną. Zarówno w najwcześniejszych jak i późniejszych dziełach jego podpada ona przełomowi — najczęściej bezpośrednio, przeskokiem, przechodzi ona z hultajskiej piosenki ululanego braciszka klasztornego, w bolesne miserere. Jeżeli mu się udaje słuchacza łagodnie od-

prowadzić od dysonansu i głębokiego smutku, zawdzięczyć to trzeba jedynie jego rafinerji artystycznej. To też zaledwie dziwaczne sercowe zboczenia mistrza, przedewszystkiem jego awanturnicze zajścia w łonie rodziny Weldon podczas pobytu w Anglji od 1881 - 1874 r. zdołały wywołać nowe uczucie, któreby może nawet w młodości nie wypłynęło z chaotycznego oceanu jego duszy. Jest on na wskróś przesiąknięty różnego rodzaju namiętnościami. W średnich wiekach wypaliłby się niezawodnie jak najjaśniejsza świeca kościelna w winnicy Pańskiej, czyniąc tem zadość wszystkim swym sensacyjnym potrzebom; w trzeźwych wszelako czasach naszego wieku, ktory siłę ludzi duchowych ogranicza, a dzikim drzewom nie dozwala wyrastać pod niebo poddając je strzyży, jak za pobożnych czasów kościelnej wszechwładzy, pozostał jako pole harców, jedyny tylko mu życzliwy świat sceny. Opera sama, jako najidealniejsza i zmysłowa forma sztuki, jest aż nadto wystarczającą dla artystycznej fantazji, aby bez wszelkiego niebezpieczeństwa mogła przyjąć w swe objęcia najbardziej nawet trawiące strumienie ognia wszelakiego przybytku uczuć ludzkich. Wagnera wszechsztuka nie jest żadnem straszydłem — jest ona prezerwatywnym wentylatorem przyszłości, zarówno jak wszechkościół był nim dla przeszłości...

Rodzice Gounoda byli zapalonymi katolikami, którzy dbali o głęboko-religijne wychowanie dziecka. Starali się więc, aby pierwsze i zazwyczaj najtrwalsze wpływy na duszę małego Karola, surowo były zachowywane w duchu rodzinnej tradycji, aby się stał godnym dziedzicem ich pobożnej wiary. Pedagogika nie zaszła jeszcze za owych czasów tak daleko, żeby w religijności poznać można było zasady wykwitłe na gruncie samopoznania i siły indywidualności, lecz trzymano się jeszcze ściśle zwyczaju opychania młodzieży, przemocą, najordynarniejszą strawą teologicznej tradycji. Nie zwracając bynajmniej uwagi na właściwości młodego pokolenia, kazano mu dziedziczyć religijne zasady i uczucia, zupełnie w ten sam sposób, jak się dziedziczyło z namaszczeniem cenne tabakiery dziada, żołnierski pióropusz pradziada i inne tym podobne sprzęty familijne.

Temperament muzyczny wcześnie się obudził w małym Karolu, bywał wszelako troskliwie tępiony bigoterją i praktykami kościelnemi. Gdy się malcowi raz udało słyszeć *Otella* i *Don Juana*, zapał do czarów świata muzycznego zapłonął w nimod razu potężnie. Rodzina się przelękła, gdy pobożny Karol przyznał się po raz pierwszy, że czuje w sobie powołanie do muzyki. Wzięto się do świątobliwych egzercycyj i poczęto biednego chłopca suto skrapiać wodą święconą w celu wypędzenia z jego duszy dziecięcej djabła muzycznego, który w niej wyprawiał szalone sztuki...

Nakoniec jednakże djabeł odnosił zwycięztwo nad dobremi, staremi duchami domowemi i Karolowi dozwolono studjować sztukę, rozumie się pod surowem zastrzeżeniem starannego unikania kompromitacji w postaci stosunku z pogańskiemi bogami muzyki. Powinien był się trzymać natchnień św. Cecylji, starego systemu kościelnego, poważnej fugi i budującej gry organowej. Wiara i sztuka zawiązały konkordat, pod których opieką dziwny talent Karola potężnie się rozwinął. Halevy, Lesueur i Paer byli jego nauczycielami, pod których przewodnictwem uzyskał on 1839 r. w konserwatorjum pierwszą nagrodę za kompozycje.

Jako laureatowi, służyło mu prawo udania się kosztem rządu na kilkoletnią podróż artystyczną do Włoch. Gounod pospieszył do błogosławionego kraju. który niegdyś słynął jako kolebka szlachetnych sztuk i ludzi, i zainstalował się w nieśmiertelnem mieście — w Villa Medici. Zdawało mu się że jest w siódmem niebie. Wszelkie rozkosze palącej wiary, pomnożone przez idealizm sztuki, spłynęły razem do jego artystycznej duszy. Wysoce przejęty swem wielkiem zadaniem, poświęcił rzymskiemu kościołowi, jego służbie bożej i skarbom sztuki jedno studjum pełne natchnienia. Jestto krótki fragment niedrukowanych jeszcze pamiętników, o których niedawno wspomniało czasopismo *Soleil illustré*, rzucający światło na metodę, zapomocą której starał sią zdobyć nowe wrażenia. Przy tej sposobności przekonywam ysię, że skłonność do sentencyjnego formułowania swych myśli i do wybryków retorycznych w stylu kaznodziejskim nie jest dopiero rezultatem jego późniejszego życia. Młody Gounod analizuje, uogólnia i uczy z zadowoleniem starca.

Podaję poniżej ze wspomnianego fragmentu, kilka interesujących ustępów pobytu w Rzymie.

..... Chodziłem jak można było najczęściej do Syxtyńskiej kaplicy, gdzie zwykłem słuchać mszy w dnie niedzielne. Ta surowa, ascetyczna muzyka, pozioma i spokojna jak płaszczyzna oceanu, jednostajna swym spokojem, antyzmysłowa, a mimo to pełna bogobojnej przenikliwości, podnoszącej się od czasu do czasu aż do extazy, wywierała zrazu na mnie dziwne w swoim rodzaju, prawie nieprzyjemne wrażenie.

Czy to był wpływ nowego dla mnie zupełnie stylu tych kompozycyj, czy też dziwny dźwięk zupełnie odrębnych głosów, które tutaj po raz pierwszy ucho moje zasłyszało — nie wiem, wiem tylko, że ten wpływ, chociaż był tak dziwny, w każdym razie mnie nie odstraszał. Coraz częściej zachodziłem tam, tak dalece, żem wkrótce bez wspaniałej muzyki nie mógł się obyć.

Są dzieła, które trzeba koniecznie widzieć lub słyszeć w tych miejscach, na których one zostały stworzone. Syxtyńska kaplica należy właśnie do tych miejsc wyjątkowych; jest ona jedynym pomnikiem na świecie. Potężny geniusz który ozdobił sufit i ścianę ołtarza swojemi dziwnemi pomysłami dziejów stworzenia i sądu ostatecznego, ten malarz proroków, który zdaje się być z innymi w stosunkach jak z podobnymi sobie, zarówno w swej potędze nie zostanie doścignionym, jak Homer lub Fidjasz. Ludzi takiego wzrostu i ustroju nie widzi się dwa razy; są to syntezy, które całe światy łączą, wyczerpują i zamykają w sobie, a tego, co oni powiedzieli nikt powtórzyć nie zdoła.“

Charakterystyczne jest miejsce, w którem Gounod muzykę Palestriny porównywa z wymową kaznodziejską — Bossueta. Posłuchajmy:

„Przy słuchaniu dzieła Palestriny uczuwamy coś takiego, co wywołuje zupełnie takie wrażenie u nas, jak gdybyśmy czytali jedno z wielkich dzieł Bossueta: nic nadzwyczajnego nie napotyka się po drodze, przybywszy wszelako do końca, spostrzegamy, żeśmy wznieśli się na dziwną wyżynę. Spokojny i wierny sługa myśli nigdzie nas żadnem słowem nie zatrzymywał, ani też z drogi sprowadzał, tak, że znaleźliśmy się u szczytu bez uderzenia, zboczenia lub zbłąkania się, prowadzeni przez tajemniczego cicerona, który skrył przed nami swe ślady. Ta zupełna nieobecność wszelkiej widocznej roboty, wszelkich świeckich środków artystycznych, wszelkiej próżnej kokieterji, czynią absolutnie niemożebnem naśladownictwo tych podniosłych dzieł sztuki. Aby ich dosięgnąć, nic więcej nie potrzeba, jak tylko ducha, który je tworzył, i zachwytu *(ravissement,)* który je dyktował.“

Bliskie zetknięcie się z pogaństwem, które w strawestowanym po katolicku Rzymie, tak znakomicie się ujawnia, nie zdawało się wywierać ochładzającego wpływu na mistyczny kierunek Gounoda. Przeciwnie, spostrzegamy, jak w tym młodym mistrzu tonów tęsknota coraz wyraźniej na wierzch się wyłamuje ku bogobojnemu żywotowi. Nie kłócący się kościół wabił go ku sobie, lecz tryumfująca w jego błogim klasztornym spokoju wspólność wybranych duchów nad niepokojem świata. Wydawało mu się najwyższem szczęściem dzielić los obdarzonego talentem pokornego braciszka klasztornego, obok świętego kultu służącego muzom wiernie.

Nie wiele brakowało, a Gounod byłby nakoniec na tym pociągającym, w blasku romantycznym „miłych świateł niebieskich“ łagodnie świecącym strumieniu zawinął do spokojnego portu kościoła. Zaledwie opuścił Villa Medici i Włochy i podczas krótkiego pobytu w Wiedniu (1843 r.) niektóre ze swych religijnych kompozycji, jak mszę i requiem, dał poznać publiczności — czemprędzej pospieszył do Paryża z powrotem w celu wstąpienia do jakiejś instytucji kościelnej. Został organistą i kapelmistrzem w kościele *Missions étrangères*, studjował przytem teologię w Seminarjum św. Sulpicjusza, nosił sutannę i przyjął nawet niższe święcenia tak zwane *ordres mineurs*...

Stanowcza chwila zbliżała się. Jednem szarpnięciem potężny, artystyczny geniusz jego rozdarł kapłańskie więzy, które srodze zagroziły polotom duszy jego, i uniósł szybko po za mury klasztorne. Gounod znów powrócił do życia, do wolności, do niepohamowanej niczem twórczej pracy. Jakkolwiek bardzo silnym był jego mistycyzm i prawowierność, czuł jednakże, że wyłączne poświęcenie się kościołowi byłoby śmiercią dla niego — a zrzucając habit bynajmniej nie potrzebował się wyrzec słodkiego marzycielstwa wiary! Państwo sztuki tonów jest dość obszernem, aby mogło zaofiarować odpowiedni kącik nawet najpretensjonalniejszej metafizyce.

Widocznie jednakże muzyka kościelna nie wypełniała całej miary jego twórczości, a teksty kościelne są zbyt szematowe, aby mogły pochłonąć te wspaniałe promienie tryskające z złotego słońca bogatej jego fantazji. Chłód murów kościelnych nie harmonizował z namiętnym i palącym temperamentem Gounoda — ziębił go i paraliżował, nic więc dziwnego, że artysta czuł się zmuszonym przenieść swą twórczą działalność na pole libretta operowego.

Tak więc przez pośrednictwo pani Viardot-Garcia pierwsza opera Gounoda *Sapho*, z tekstem Emila Augier, ukazała się na scenie dnia 16 kwietnia 1851 r. Na cztery lata przedtem w 39 roku życia, połączył on się ślubem kościelnym z córką pianisty Zimmermana. Małżeństwo to było wielką szkołą. Przyspiesza ono i reguluje produkcję artystycznego mózgu. Gounod pracował z świeżym zapałem. Kołysał w marzeniach wiecznie młodego szczęścia i podwójnie odczuwał błogosławieństwo samowolnie wyszukiwanej

ciężkiej pracy. Późniejszej zmiany nie przewidywał on zupełnie.

W krótkich po sobie idących przerwach skomponował, oprócz wielkich chórów do *Ulyssesa*, opery *Krwawa Zakonnica*, *Lekarz mimo woli* i *Fausta* — a publiczność bacznie śledząca za tą jasno wschodzącą na firmamencie sztuki gwiazdą, z zapałem obsypywała pochwałami te dzieła. *Faust*, w którym muzyczny artyzm mistrza wzniósł się do doskonałości, zyskał świetne powodzenie zaraz za pierwszem swem ukazaniem się na scenie „Teatru Lirycznego“ d. 19 marca 1859 r. Imię kompozytora nabrało europejskiej sławy, a miejsce honorowe w nowożytnych francuskich dziejach sztuki zostało mu jednogłośnie przyznane. Żadna niechętna krytyka zagranicznych pedantów sądzących z uprzednich teoryjek scholastycznych, nie mogła stanowić tamy przeciw potężnemu prądowi ogółu. Loiczny instynkt publiczności zbił pretensjonalną bakalarską mądrość krytyki. Twórczy geniusz artysty pozostał przy swych prawach. *Faust* Gounoda jest bezwarunkowo dziełem, które w każdej nucie nosi znamię artystycznej duszy swego twórcy. Dzieło to jest wyznaniem wiary, która z głębin duszy wybiła się do wyrazu muzycznego. Mistyczny, główny popęd arcy-katolickiego wiarusa ukazuje się przesiąkniętym wrażeniem nowożytnego artysty, który się zupełnie chętnie oddaje świeckiemu życiu swej epoki.

Pod względem techniki muzycznych środków Gounod, może zostać porównanym z swymi poprzednikami, a miara jego zasobów może zostać uznaną za zbliżoną do nich; co się jednak tyczy oceny duchowej jego strony, to istnieje dlań jedno tylko porównanie, mianowicie ze sobą samym. *Faust* Gounoda, jak każde rzeczywiste arcydzieło, nosi swoją miarę w sobie.

Podobnego powodzenia jak *Faust* żadna z późniejszych oper Gounoda nie doznała — w przybliżeniu tylko *Romeo i Julja* (1867). Z oper *Philemon i Baucis*, *Mireille* i innych, zaledwie niektóre liryczne fragmenty zyskały sobie popularność. Do gustu publiczności przemawia przeważnie łagodna i miłośnie-melancholijna struna duszy Gounoda.

Im większe on jednak w późniejszych utworach czuje upodobanie w swych partyturach do baletu symfonicznego — aby z jednej strony iść w parze z nowym rozwojem muzyki dramatycznej, a z drugiej jak się sam wyraża w swym mistycznym języku, w celu wywarcia „apostolskiego“ wrażenia — tem trudniej słuchacze jego zdobyć się mogą na takie uznanie, jakiego ten stary mistrz pożąda.

Gounod pojmuje obecnie swoją sztukę jako najwyższe słowo w misji chrześciańskiej. Za najdoskonalsze też dzieło w tym kierunku uznaje on sam, swoją w 1878 r. po raz pierwszy przedstawioną operę *Polyeucte'a*. Ma ona być kulminacyjnym punktem jego apostolskiego ideału sztuki...

Publiczność wszelako okazała się natychmiast za niedostatecznie przygotowaną do tej mistycznej tkanki. Pogańskie partje tego dzieła z wesołymi śpiewami i pełnymi życia tańcami, z wspaniałemi scenami uroczystości Wenery i Bachusa przemawiały bardzo za niem; podczas, gdy cały przepych zgotowany na cześć chrześciaństwa (jak chrzest, zburzenie bogów bałwochwalczych, fanatyczna śmierć męczeńska w cyrku), okazał się mniej lub więcej niesmacznym. Z wyjątkiem kilku pomysłowych wyjątków orkiestrowych, krytyka nie zdołała odnaleźć owych nadzwyczajnych piękności, potężnych natchnień w dość pompatycznie zalecających się apostolskich muzycznych objawieniach Gounoda.

Ktoby sądził, że Gounod ze swym apostolskim dramatem wstąpił w nową fazę rozwoju, że przy końcu życia wszedł na nową drogę, na której kresie nęcą go wspaniałe laury kompozytorów wznoszących się, popadłby w błąd wielki. Geniusz Gounoda dobiegł już swej mety, a i nie szuka dla siebie nowej drogi. Istota Gounoda świadczy o *rozwinięciu*, nie zaś o *rozwijaniu* się w najrozleglejszem tego słowa znaczeniu, zarówno jak księżyc nie podlega procesowi rozwijania się, gdy z jednej w drugą kwadrę przechodzi. Jestto ciągła zmiana światła nie przyczyniająca się bynajmniej do wytrysku nowych źródeł jego.

Gdy dyrektor Halancier uskarżał się na słabe powodzenie apostolskiego tego dzieła (*Polyeucte'a*), którego wystawa ogromne koszta pociągnęła za sobą, mistyk Gounod nie zawahał się ani na chwilę i pocieszał go, że nowe dzieła, nad którémi teraz pracuje, powetują mu straty, gdyż bezwarunkowo będą się podobały grzesznej publiczności!

Nie jest to żadna świadomie odgrywana komedja, lecz wynik nieszczęśliwej, rozdartej, pozbawionej etycznej jedności, natury.

Jakże zupełnie inaczej przedstawia się w tej sztuce wielki ziomek jego Hektor Berlioz! Trudno sobie wyobrazić bardziej rażący kontrast. Ta zasadnicza różnica, która objawia się w ich muzycznem traktowaniu tych samych tematów dramatycznych Goethego i Schekspira, przejawia się jeszcze jaskrawszemi kolorami w ich charakterach.

Jakkolwiek może porównanie to byłoby bardzo interesującem, nie będziemy go jednakże przeprowadzać. W gruncie rzeczy nie przyniosłoby ono żadnej korzyści, a potem, czyż można człowieka czynić odpowiedzialnym za jego nieszczęśliwy charakter, który został mu raczej przez los narzucony, nie zaś z własnego wyboru przypadł mu w udziale?

Gounod zresztą zarówno ze strony swych francuskich ziomków i konkurentów nie podlegał zbyt surowej krytyce. Jako artyście a również jako człowiekowi prywatnemu entuzjastyczna sympatja otoczenia pozostała wierną, aż do chwili ucieczki do Anglji, która wywołała w szerszych kołach przejściową niechęć ku artyście.

Przyznaję, że ta epoka jego życia mimo swych najsilniejszych poszukiwań, mimo bezstronnych rozmyślań, kryje dla mnie dużą ilość najtrudniejszych psychologicznych zagadek. Postanowiłem sobie odnoszące się do tej materji studja skrzętnie doprowadzić do końca i w swoim czasie wystąpić z jasną analizą dziwnego romansu „Georgina Weldon i Karol Gounod“, nie w celu krytykowania go, lecz dla wyjaśnienia tej fenomenalnej zagadki psychicznej.

Urywkowe publikacje pani Weldon nie wyjaśniają jeszcze zupełnie tego procesu a wmięszanie się paryskiego dziennikarstwa w tę sprawę, przyczyniło się raczej jeszcze do jej zagmatwania, Najbardziej *Gaulois* przyłożył do tego rękę. Przy tej sposobności wyszły na jaw pewne rzeczy, które dla gazet biorących w tej sprawie udział, są niezbyt pochlebne. W celu jednakże częściowego zmniejszenia winy chętnie się zgadzam na tę okoliczność łagodzącą, że mianowicie dla paryskich publicystów jest rzeczą absolutnie nie możebną znaleźć się w charakterze cudzoziemskim. Tylko oni zdolni byli używać względem tej wielkodusznej Angielki, mowy, która daleką była od wszelkiej rycerskości i prawdy. Bo jakżeż może paryski mózg wyrobić w sobie dobre pojęcie o trzyletniem aurelskiem małżeństwie *à trois*? Do licha, toż i nie Paryżaninowi ta dziwna historja może się wydawać nieprawdopodobną!

Tymczasem, jak Goethe śpiewa, który też posiada odpowiednie doświadczenie w tej delikatnej materji:

> Do koła nas otacza
> Stworzona losem przepaść,
> Lecz w sercach naszych głębsza —
> A miło się w nią rzucić.

Miło? Zaiste, jeżeli męki piekielne są miłe, tak! A Karol Gounod umie o tem pieśń zanucić.

Niechaj więc śpiewa! on to sobie, swojej „Mimi“ i światu on winien.

W owej chwili usłyszymy dopiero największe dzieło jego...

LISTY Z CZECH.

I.

W styczniu 1880.

Witam Was dziś po raz pierwszy na tem miejscu szanowni czytelnicy bratniego narodu; witam was z radością niewysłowioną. Bądźcie przekonani, że was już dawno miłujemy. Każdy ze starszych u nas przypomina sobie bardzo dobrze, jak gorąco czytano w szkołach przekłady z Mickiewicza, Krasińskiego i innych, oraz z jaką pożądliwością uczono się polskiego języka. Przedeszystkiem z bogatej waszej literatury, poznaliśmy Polskę i nauczyliśmy się ją kochać. O czem możecie być przeświadczeni, bracia Polacy! Lecz była to miłość tylko z jednej strony, o której długoście nie wiedzieli. Dziś już, Bogu dzięki, jest inaczej! Nie czujemy już tak boleśnie odłączenia naszych najbliższych braci słowiańskich od nas, bo codzień poznajemy się bliżej i doznajemy wzajemności. Przypomnijmy tylko sobie w dzisiejszym liście, jak się to stało.

Jest temu już więcej, niż rok czasu, jak zagajoną była żywa styczność między literackim światem polskim a czeskim. Dziękujemy za to stowarzyszeniu literackiemu „Slavia“, które w grudniu 1878 urządziło w Praże uroczystość Kraszewskiego, a jeszcze więcej obowiązani jesteśmy panu Adamowi Asnykowi, który na uroczystość tę, do Pragi zawitał. Znaliśmy już tego wysłańca Waszego z niektórych znakomitych jego utworów poetyckich, a gdy przyszedł między nas, widzieliśmy przed sobą męża gorącego, interesującego się naszą literaturą, męża, naprzeciw któremu iść musiało serce nasze. A Asnyk, my to wiemy, ważył te serca, i on snać pierwszy między Polakami, tak wysoko umysłowo stojącymi, nie znalazł je lekkimi! Asnykowi jesteśmy wielce obowiązani, za przebudzenie u Was miłości ku nam, gdyż wiemy, że po powrocie do domu, nie zapomniał o nas, lecz poczciwie i z zapałem, jak tylko tego poetyczna dusza jest zdolna, udzielił opowieści i szerokiemu Kołu polskiej inteligencji, jak się to rzeczy właściwie w Czechach mają.

Potem przyszła wielka uroczystość Kraszewskiego w Krakowie.

Gdy tam deputacja czeska ukazała się w obszernej sali starożytnych Sukiennic, składając adres w hołdzie Kraszewskiemu, to wszyscy obecni wybuchli okrzykami pełnemi zapału: „Niech żyją Czesi.“ Związek miłości, przypieczętowany pokrewieństwem, jaki wtedy czescy

delegaci z Polakami zawiązali, nie zginął z ich odjazdem do Krakowa, a gdy młoda artystka polska, panna Deryng, zaproszona do Pragi, przez komitet urządzający „wieczór słowiański“ w stowarzyszeniu „Slavia“, najpierw na tym wieczorze, a potem na scenie naszej wystąpiła, obsypana była takiemi objawami uznania, że tak pięknego przywitania jeszcze się żadnemu gościowi u nas w Pradze nie dostało. A że to nie były tylko chwilowe, przemijające związki, dowodem tego jest, iż gdy wasz sławny artysta dramatyczny Józef Rychter przyjechał do nas, to się przeświadczył o dalszych wspaniałych zamiarach. Przedewszystkiem wybrał najprzedniejsze nasze dzieła dramatyczne, które nie długo wystawi na scenie krakowskiej, dalej zaprosił całą operę czeską, na lato do Krakowa, na gościnne występy, a w zamian za to odwiedzi Pragę z całem swem towarzystwem. Myśl to zaprawdę wyborna i przyczyni się jej wykonanie wielce do wzajemnego poznania i rozwoju sztuki u obu narodów. Polska pozna nasze opery narodowe, pozna wyżyny, do jakich doszli nasi śpiewacy. My zaś poznamy wielkie tragedje polskie i sztuki ludowe, wygłoszone w ich pierwotnej szacie i zabarwieniu. Niech ta wzajemność dopomoże do zbliżenia się naszego, aby artystom i pracownikom pióra czeskim, otworzona była droga w całej Polsce, jakoto też Polakom do Pragi.

Miłujmy się — bośmy bracia!

Ar. Sch. Polabsky.

SPADEK 500 MILIONOWY

POWIEŚĆ

JULJUSZA VERNE'A

PRZEKŁAD

WINCENTY LIMANOWSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ VI.

Studnia Albrechta.

Pani Bauer, poczciwa kobieta, u której zamieszkał Marceli Bruckmann, Szwajcarka rodem, była wdową po górniku, który przed czterma laty zginął w jednym z tych kataklizmów, co to życie górnika zamieniają w bój nieustanny.

Fabryka wypłacała jej małą pensję trzydziestu talarów rocznie; do tego łączył się zarobek, jaki miała wynajmując pokój umeblowany, i płaca, którą mały jej syn Karl przynosił co niedzielę.

Karl, chociaż trzynaście lat dopiero liczący, miał w kopalni węgla obowiązek otwierania i zamykania drzwi, któremi przewożono wózki z węglami; był to jeden z tych otworów, koniecznie potrzebnych do wentylacji galerji, za ich pomocą bowiem zwracano przeciąg powietrza w pewną określoną stronę. Ponieważ dom, najmowany pezez matkę Karla, zanadto był oddalony od studni Albrechta, tak że chłopiec nie mógł wracać wieczorem do domu swego, powierzono mu przeto w dodatku mały obowiązek nocny w sąsiedztwie kopalni. Musiał pilnować i dopatrywać sześć koni w podziemnej ich stajni, podczas kiedy woźnica wychodził na zewnątrz kopalni.

Całe zatem prawie życie Karla upływało o pięćset metrów pod powierzchnią ziemi. We dnie stał na straży przy swoich drzwiach; w nocy spał na słomie przy koniach. Dopiero w niedzielę rano wracał do światła dziennego i mógł korzystać z tej własności wszystkich ludzi: ze słońca, błękitnego nieba i macierzyńskiego uśmiechu.

Łatwo się domyśleć, że po takim tygodniu, kiedy wychodził ze studni, powierzchowność jego niekoniecznie przypominała eleganta; podobny był raczej do jakiegoś gnoma w państwie czarów, do kominiarza lub do murzyna papuasa. To też jejmość Bauer poświęcała zwykle całą godzinę na szorowanie go, z wielką obfitością wody i mydła. Potem wkładała na niego dobre ubranie z zielonego sukna, zrobione z odzienia ojcowskiego niegdyś, a które teraz wydobywała z wielkiej swej sosnowej szafy, i od tej chwili aż do wieczora nie spuszczała oka z syna, który wydawał się jej najpiękniejszym w świecie.

Oswobodzony od osadu węgla, który go pokrywał przez cały tydzień, Karl w istocie nie był brzydszym od innych. Jego włosy jasne i jedwabiste, oczy niebieskie, łagodne, dobrze się zgadzały z cerą nadzwyczaj białą; ale figurkę miał za szczupłą na swój wiek. Życie bez słońca czyniło z niego istotę anemiczną jak sałata: gdyby przyrząd do rachowania ciałek krwi wynalazku doktora Sarrasin'a zastosowano do krwi małego górnika, prawdopodobnie znalezionoby w niej zupełnie niedostateczną ilość monety krwistej.

Co do moralnej strony, było to dziecię milczące, spokojne, flegmatyczne, z odrobiną owej dumy, którą zwykle wyrabia uczucie ciągłego niebezpieczeństwa, przyzwyczajenie do regularnej pracy i zadowolenie z przezwyciężonej trudności.

Największem szczęściem dla niego było, kiedy usiadł koło matki, przy czworograniastym stole stojącym na środku sali i przykłuwał do kartonu mnóstwo szkaradnych owadów, które przyniósł był z wnętrza ziemi. Ciepła i równa atmosfera kopalni ma właściwą sobie faunę, mało znaną naturalistom, tak jak wilgotne ściany węgla kamiennego mają swą dziwną florę z zielonawych mchów, nieznanych grzybów i bezkształtnych porostów. Inżynier Maulesmühle, lubownik entomologii, zwrócił był uwagę swą na to, i obiecał nagrodę pieniężną za każdy nowy gatunek, którego okaz Karl mu przyniesie. Złota perspektywa ta zachęciła najprzód chłopczyka do pilnego zwiedzenia wszystkich kątów kopalni, ale powoli zrobiła zeń prawdziwego zbieracza. Teraz już na swój własny rachunek wyszukiwał owady.

W dodatku, miłość jego nie ograniczała się do pająków i stonóg. W samotności swej zawiązał ściśle stosunki z dwoma nietoperzami i z wielkim szczurem leśnym. Co większa, utrzymywał on, że te trzy egzemplarze zwierząt były to najrozumniejsze i najmilsze stworzenia na świecie; dowcipniejsze nawet od jego koni o sierści jedwabistej i błyszczącym karku, o których jednak mówił zawsze z największem uwielbieniem.

Między nimi odznaczał się szczególnie Blair-Athol, dziekan stajni, stary filozof, który przed sześciu laty zeszedł o pięćset metrów poniżej poziomu morza i od tej chwili nie oglądał już więcej światła dziennego. Teraz był prawie ślepym. Ale jak dobrze znał swój podziemny labirynt! Jak umiał zwracać się na prawo, na lewo, ciągnąc swój wózek, i nigdy nie omylił się ani o krok jeden! Jak w porę zatrzymywał się przed drzwiami, zostawując przestrzeń potrzebną do otworzenia ich! Jak przyjaźnie rżał, rano i wieczór, ściśle pilnując się chwili, w której należał mu się obrok! Ale jak był dobry, jak łaskawy, jak czuły!

— Wierz mi, matko, że na prawdę całuje mię pocierając swą głowę o moją twarz, kiedy zbliżam się do niego — mówił Karl. — A jak to wygodnie, że Blair-Athol ma zegar w głowie! Bez niego przez cały tydzień nie wiedzielibyśmy czy jest dzień czy noc, rano czy wieczór!

Tak gwarzyło dziecię, a jejmość Bauer z zachwytem go słuchała. Ona także kochała Blair--Athol'a, dzieląc uczucie syna swego ku niemu, i przy wdzięczności posyłała mu nieraz kawałek cukru. Cóżby nie dała za to, gdyby jej pozwolono odwiedzić tego starego sługę, którego mąż jej znał niegdyś, a zarazem oglądnąć nieszczęsne miejsce, gdzie po wybuchu znaleziono zwłoki biednego Bauera, czarne jak atrament, zwęglone przez ogień gazowy!... Ale nie wpuszczają kobiet do kopalni węgla, i trzeba było zadowolić się opisami, jakie syn jej robił bezustannie.

Ach! znała ona dobrze tę kopalnię, tę wielką czarną dziurę, z której mąż jej nie wrócił już. Ileż razy oczekiwała przy tej rozdziawionej paszczy, mającej ośmnaście stóp średnicy, i śledziła wzrokiem wzdłuż obmurowania z kamienia ciosowego, spuszczającą się podwójną klatkę dębową, w której przesuwały się beny, umocowane do liny i zawieszone na stalowych blokach; ileż razy zwiedzała zewnętrzną budowę kopalni, budynek maszyny parowej, izdebkę markiera i resztę! Ile razy grzała się przy silnym zawsze ogniu owego ogromnego kosza żelaznego, przy którym górnicy suszą odzienie swe, wyszedłszy z otchłani, lub niecierpliwie zapalają swe fajki! Jak bardzo oswojoną była z hałasem i ruchem, panującym przy tej piekielnej bramie! Ileż razy widziała przy pracy robotników, mających rozmaite zadania: jedni odczepiali wagony, naładowane węglem, drudzy gatunkowali takowy; byli tam pomywacze, mechanicy, palacze itd.!

Nie mogła też widzieć, a jednak widziała dobrze oczami serca to, co się działo, kiedy klatka zniknęła, unosząc garstkę robotników, a między nimi męża jej niegdyś, a teraz jedyne dziecię!

Słyszała ich głosy i śmiechy oddalające się, słabnące, wreszcie ginące w głębi. Myślą dążyła za tą klatką, zanurzającą się w czeluść ciasną i prostopadłą, o pięćset, sześćset metrów, cztery razy tyle, co wysokość wielkiej piramidy!.. Widziała ją stającą u celu i ludzi spiesznie wysiadających z niej na ziemię!

Rozsypywali się natychmiast w tem mieście podziemnem; jedni szli na prawo, inni na lewo; ci udawali się do wagonów swoich; tamci, uzbrojeni w drągi okute żelazem, dążyli ku bryłom węgla, na które mieli uderzyć; niektórzy kładli mocne materjały tam, zkąd wydobyto skarby węgla; inni wznosili z drzewa rusztowania, na których opierały się galerje niemurowane; naprawiano drogi, kładziono relsy, wznoszono sklepienia!...

Główna galerja wychodzi ze studni i w kształcie szerokiego bulwaru sięga innej studni, oddalonej o trzy lub cztery kilometry. Ztamtąd rozchodzą się w promieniach pod prostymi kątami galerje drugorzędne, a na równoległych liniach galerje trzeciorzędne. Między temi drogami wznoszą się mury, słupy utworzone z tegoż samego

węgla albo ze skały. Wszystko to regularne, szerokie, mocne, czarne!...

A w tym labiryncie ulic, równych tak pod względem długości jak szerokości, cała armia górników, na wpół nagich, poruszała się, rozmawiała, pracowała przy świetle swoich lamp bezpieczeństwa!...

Oto obraz, który jejmość Bauer przedstawiała sobie często, samotnie dumając przy ogniu.

W tych krzyżujących się galerjach widziała jednę szczególnie, jednę, którą znała lepiej niż inne, tę, której drzwi jej mały Karl otwierał i zamykał.

Wieczorem ci, co pracowali we dnie, wracali na powierzchnię ziemi, a miejsca ich zajmowali inni. Ale jej chłopiec, jej syn, nie siadał z powrotem do klatki. Szedł do stajni, do swego kochanego Blair-Athol'a, dawał mu jego wieczerzę z owsa i siana złożoną; potem z kolei sam jadł swój mały zimny obiad, który mu z góry spuszczano, bawił się chwilę ze swoim wielkim szczurem, nieruchomie siedzącym u nóg jego, i ze swymi dwoma nietoperzami, co latały ciężko koło niego, wreszcie zasypiał na podściółce ze słomy.

Jak dobrze wiedziała o tem wszystkiem jejmość Bauer, i jak doskonale z kilku słówek Karla domyślała się wszystkich szczegółów!

— Wiesz, matko, co mi wczoraj powiedział inżynier Maulesmühle? Powiedział, że jeżeli dobrze odpowiem na wszystkie jego pytania z arytmetyki, które mi zada wktótce, to weźmie mnie do trzymania mierniczego łańcucha, jak będzie z busolą zdejmował plany kopalni. Mają podobno przebić galerją, dla połączenia studni Albrechta ze studnią Webera. Niełatwą będzie miał pan inżynier robotę, chcąc trafić jak się należy!

— Doprawdy! — zawołała jejmość Bauer zachwycona — pan inżynier Maulesmühle tak powiedział!

I wyobrażała już sobie syna swego, trzymającego łańcuch wzdłuż galerji, podczas kiedy inżynier z książeczką notatek w ręku kreślił w niej cyfry i z okiem utkwionem w busoli wskazywał, w jakim kierunku ma się przebić nowa droga.

— Na nieszczęście, nie mam nikogo, coby mi wytłumaczył to, czego nie rozumiem w mojej arytmetyce, i boję się bardzo, żebym nie odpowiadał źle!

Tutaj Marceli, który milcząc palił fajkę przy ogniu, do czego miał prawo jako lokator domu, wmięszał się do rozmowy, mówiąc do dziecka:

— Może ja będę mógł objaśnić ci to, czego nie rozumiesz?

— Wy? — zapytała jejmość Bauer z pewnem niedowierzaniem.

— Bez wątpienia — odrzekł Marceli. — Myślisz jejmość, że niczego się nie uczę na lekcjach wieczornych, na które chodzę codziennie po wieczerzy? Nauczyciel bardzo kontent ze mnie i mówi, że mógłbym być monitorem!

To powiedziawszy, Marceli udał się do swego pokoju po zeszyt białego papieru, potem usiadł przy chłopcu, zapytał czego ten nie pojmuje w zadaniu swojem, i objaśnił je tak dokładnie, tak przystępnie, że Karl zachwycony nie widział już żadnej trudności w tem, czego z początku wcale nie rozumiał.

Od dnia tego jejmość Bauer większe miała poszanowanie dla lokatora swego, a Marceli polubił swego małego kolegę.

Zresztą on sam był bardzo przykładnym robotnikiem i wkrótce postąpił najprzód do drugiej, a potem do pierwszej klasy. Co rana o godzinie siódmej był u bramy O. Co wieczór po wieczerzy uczęszczał na kursa, wykładane przez inżyniera Grubnera. Z równym zapałem pracował nad geometrją, algebrą, rysunkiem tak figur jak maszyn; postępy jego w naukach tak były szybkie, że wzbudziły żywe podziwienie w profesorze. W dwa miesiące po wstąpieniu swojem do fabryki Schultze'go, uważany był za najzdolniejszego robotnika nietylko w wydziale O, ale w całem Stalowem mieście. Bezpośredni naczelnik jego w kwartalnym raporcie swoim taką o nim uczynił oficjalną wzmiankę:

„Schwartz (Johann), 26 lat, robotnik giser pierwszej klasy. Muszę zwrócić uwagę centralnej administracji na tego człowieka prawdziwie „wyższego“ tak pod względem wiadomości teoretycznych jak praktycznej biegłości, jakoteż wybitnej zdolności do wynalazków.“

Trzeba było jednak szczególnej okoliczności, by główny zarząd zwrócił uwagę swą na Marcelego. Okoliczność ta przytrafiła się wkrótce, tak jak zwykle bywa prędzej lub poźniej; na nieszczęście, stało się to z powodów bardzo tragicznych.

Jednej niedzieli rano Marceli zdziwiony, że mimo godziny dziesiątej, jego mały przyjaciel Karl nie pokazał się dotąd, zeszedł do jejmości Bauer, pytając czy wiedziała jaka jest przyczyna tego opóźnienia. Znalazł ją bardzo niespokojną z tego powodu. Karl powinien był być w domu od dwóch godzin przynajmniej. Widząc jej niepokój, Marceli ofiarował się pójść dowiedzieć się o niego i udał się w stronę studni Albrechta.

W drodze spotkał kilku górników i pytał ich, czy nie widzieli chłopca; otrzymawszy od nich przeczącą odpowiedź i zamieniwszy z nimi owe *Glück auf!* „szczęśliwego wyjścia“, którem górnicy niemieccy pozdrawiają się wzajemnie, Marceli szedł dalej.

Koło godziny jedenastej był u studni Albrechta. Tu nie było teraz ani tłumu ani ruchu zwykłego w ciągu tygodnia. Tylko jedna z młodych „modystek“, — przezwisko, którem górnicy wesoło mianowali robotnice przeznaczone do gatunkowania węgla — gawędziła z markierem, bo ten, nawet w niedzielę, musiał z obowiązku swego czuwać przy paszczy studni.

— Czy widzieliście wychodzącego małego Karla Bauer'a, numer 41,902? — zapytał Marceli urzędnika.

Ten popatrzał na listę swoją i potrząsł głową.

— Czy kopalnia ma inne wyjście?

— Nie, to jedno jest — odpowiedział markier. — Nowe, które mają zrobić w stronie północnej, niedokończone jeszcze.

— A więc chłopiec jest na dole?

— Naturalnie; w istocie, to rzecz dziwna, bo w niedzielę tylko pięciu osobnych strażników musi tam pozostawać.

— Czy mogę zejść, by się dowiedzieć?

— Nie bez pozwolenia jednak.

— Może się stał jaki wypadek — odpowiedziała modystka.

— W niedzielę nie może być wypadku!

— Ależ przecie — rzekł Marceli — muszę wiedzieć, co się dzieje z dzieckiem!

— Proszę udać się do nadzorcy maszyny, w tem biórze... jeżeli jest tam jeszcze...

Nadzorca, w świątecznem ubraniu, ze sztywnym jak róg kołnierzem u koszuli, spóźnił się, na szczęście, nad rachunkami swymi. A że był człowiekiem inteligentnym i ludzkim, więc też natychmiast podzielił obawy Marcelego.

— Zobaczymy, co się stało — rzekł.

I rozkazawszy dyżurnemu mechanikowi, by stanął u liny, miał już spuścić się do kopalni z młodym robotnikiem, gdy ten zapytał:

— Czy nie macie przyrządów Galiberta? Mogą być potrzebne...

— Masz słuszność. Nigdy nie wiadomo, co się dzieje w głębi dziury.

Nadzorca wyjął z szafy dwa rezerwoary z cynku, kształtem swoim przypominające owe naczynia, które kupcy „coco“ noszą w Paryżu na plecach. Są to skrzynie dla ścieśnionego powietrza; łączą sie z ustami za pośrednictwem dwóch rur kauczukowych, zakończonych rogową główka, którą wkłada się do ust. Napełniają się one powietrzem za pomocą szczególnych miechów, tak zrobionych, że mogą się wypróżniać zupełnie. Ścisnąwszy nos drewnianemi szczypcami i zaopatrzywszy się takim sposobem w pewną ilość powietrza, można bezkarnie zapuszczać się w atmosferę najmniej stosowną do oddychania.

Skończywszy przygotowania, nadzorca i Marceli uczepili się, lina pomknęła, i zaczęli spuszczać się. Tak zstępując w głąb ziemi, rozmawiali z sobą przy świetle dwóch małych lamp elektrycznych.

— Jak na człowieka nienależącego do rzemiosła, można powiedzieć, że mi dmuchasz w palce — mówił nadzorca. — Widziałem takich, co nie mogli odważyć się spuścić, albo jak króliki skuleni siedzieli w klatce!

— Doprawdy? — odrzekł Marceli. — Mnie to zupełnie obojętne. Prawda, że dwa czy trzy razy już spuszczałem się do kopalni.

Dosięgnięto wkrótce dna studni. Strażnik znajdujący się na placyku, gdzie klatka stanęła, nie umiał nic powiedzieć o Karlu.

Udano się do stajni. Tam konie były same i zdawały się nawet bardzo być znudzone. Należało tak wnosić przynajmniej z radosnego rżenia Blair-Athola, którem pozdrowił trzy ludzkie postacie. Na goździu wisiał worek Karla, a w kącie obok zgrzebła leżała jego książka arytmetyczna.

Marceli zwrócił zaraz uwagę na to, że latarni jego brakowało, co nowym było dowodem, iż dziecko musiało być w kopalni.

— Może spotkał go wypadek jaki przy obaleniu się ściany — rzekł nadzorca — ale to nie bardzo prawdopodobne! Cóżby robił w niedzielę w galerjach, gdzie dobywają węgiel?

— Oh! może zanim wyszedł, szukał tam owadów! — odpowiedział strażnik. — To prawdziwa namiętność u niego!

Chłopiec od stajni, który nadszedł na to, potwierdził to przypuszczenie. Widział Karla, jak ten wychodził przed siódmą godziną z latarnią swoją.

Nie pozostawało zatem nic więcej, jak rozpocząć prawidłowe poszukiwania.

Za pomocą gwizdawki przywołano innych strażników; na wielkim planie kopalni podzielono się pracą, i wszyscy, zaopatrzywszy się w lampy, rozpoczęli przegląd galerji drugo- i trzeciorzę-

dnych, stosownie do tego, jak co komu przeznaczono.

W dwie godziny zwiedzono wszystkie części kopalni, i wszyscy szukający znowu wrócili na placyk. Nigdzie nie znaleziono najmniejszego śladu zawalenia się ściany, ale też nigdzie żadnego śladu Karla. Nadzorca może pod wpływem wzmagającego się apetytu, przechylał się do tego mniemania, że chłopiec mógł przejść niepostrzeżony i teraz znajdował się po prostu w domu; ale Marceli przekonany, że tak nie było, nastawał na to, by szukać go jeszcze w kopalni.

— Co to jest? — zapytał, wskazując na planie kropkowane miejsce, które obok szczegółów wyraźnie określonych podobnem było do owych *terrae ignotae*, które geografowie znaczą na krańcach lądów arktycznych.

— Jest to pas, który porzucono tymczasowo, dla zwężonego w nim pokładu węgla — odpowiedział nadzorca.

— Jest opuszczony pas?... To tam trzeba szukać! — rzekł Marceli ze stanowczością, której inni ulegli.

Dostali się wkrótce do otworu galerji, których lepkie i spleśniałe ściany okazywały, że opuszczono je od lat kilku.

Przez czas jakiś szli po nich, nie spostrzegając nic podejrzanego, kiedy Marceli zatrzymując idących, rzekł:

— Czy nie doznajecie pewnej ociężałości i bolu głowy?

— Co prawda! — odpowiedzieli towarzysze jego.

— Co do mnie, czuję się na w pół odurzonym. Musi tu być z pewnością dwutlenek węgla!... Czy mogę zapalić zapałkę? — spytał nadzorcę.

— Możesz, mój chłopcze, rób jak chcesz.

Marceli wyjął z kieszeni małe pudełko fajkarza, potarł o nie zapałkę i, pochyliwszy się, zbliżył mały płomień jej ku ziemi. Zgasła natychmiast.

— Byłem tego pewny.. — rzekł. — Gaz, cięższy od powietrza, trzyma się przy samej ziemi... Nie można tu pozostawać; mówię o tych, którzy nie mają przyrządu Galiberta. A my z panem nadzorcą, jeżeli pozwoli na to, będziemy dalej szukali.

Kiedy zgodzono się na to, Marceli i nadzorca, wziąwszy każdy z nich w zęby koniec rurki od skrzyni swej z powietrzem i zatknąwszy kleszczyki na nozdrza, zagłębili się w szereg starych galerji. W kwadrans poźniej wyszli z nich dla odnowienia powietrza w rezerwoarach; potem zrobiwszy to, szli dalej znowu.

Za trzecim razem, usiłowania ich zostały uwieńczone. Zdala w ciemności dostrzegli małe niebieskawe światełko lampy elektrycznej. Pobiegli w tę stronę...

U stóp muru wilgotnego leżał nieruchomy i zimny już biedny mały Karl. Sine usta jego, twarz nalana, puls niemy i cała postawa wyraźnie mówiły, co się z nim stało.

Chciał podnieść coś z ziemi, nachylił się i dosłownie utonął w gazie dwutlenku węgla.

Nic nie zdołało przywołać go do życia. Śmierć zaszła już od czterech czy pięciu godzin. Nazajutrz wieczorem, nowy cmentarz Stahlstadtu miał o jeden grób więcej, a biedna jejmość Bauer została wdową po dziecku, tak jak była już wdową po mężu.

ROZDZIAŁ VII.

Centralny oddział.

W raporcie swoim doktor Echternach, główny lekarz oddziału studni Albrechta, zawyrokował, że Karl Bauer, nr. 41.902, mający lat 13 i pełniący obowiązek strażnika u drzwi prowadzących do galerji 228, umarł od uduszenia, które nastąpiło w skutek pochłonięcia wielkiej ilości dwutlenku węgla przez organa oddechowe.

Inny raport inżyniera Maulesmühle, nie mniej jasny od pierwszego, przedstawiał władzy konieczność zaprowadzenia systemu wentylacji w strefie B. planu XIV, którego galerje wydzielały trujący gaz, sposobem powolnym i nieznacznym, ale niewątpliwie szkodliwym.

Nakoniec, ten sam urzędnik w osobnej nocie donosił władzy o poświęceniu się nadzorcy Rayer'a i gisera pierwszej klasy, Johann'a Schwartz.

W tydzień może lub dziesięć dni potem, młody robotnik, wszedłszy do loży odźwiernego dla wzięcia swego znaczku obecności, znalazł na gwoździu drukowany rozkaz pod swoim adresem:

Tak zwany Schwartz stawi się dzisiaj o godzinie dziesiątej w biórze głównego dyrektora. Dzielnica centralna brama i droga A. Ubranie świąteczne.

— Nakoniec!.. — pomyślał Marceli. Długo się namyślali, ale mam ich nareszcie!

W rozmowach swych z kolegami i w niedzielnych swych przechadzkach dokoła Stahlstadt'u, poznał był już ogólną organizacją miasta na tyle, że wiedział, iż pozwolenie wejścia do środkowej dzielnicy nie byle komu dostawało się. Prawdziwe legendy krążyły pod tym względem. Powiedziano, że ciekawi, którzy podstępem wdarli się byli do tego warownego obwodu, nie pokazali się więcej; że robotnicy i urzędnicy, zanim przyjęci tam zostali, musieli się poddać pewnym obrządkom wolnomurarskim i pod najuroczystszą przysięgą zobowiązać się, że nie wydadzą nic z tego co ujrzą; że tajemny trybunał karał śmiercią tych, co niedotrzymali przysięgi. Podziemna kolej żelazna łączyła tę świątynię z linią obwodową.. Nieznani goście przybywali tam nocnymi pociągami.. Odbywały się tam niekiedy najwyższe sądy, w których tajemnicze osoby zasiadały i brały udział w naradach..

Nie przykładając zbytecznej wiary do tych opowiadań, Marceli rozumiał jednak dobrze, że były one wyrazem rzeczywistego faktu: nadzwyczajnej trudności dostania się do oddziału środkowego. Ze wszystkich robotników, jakich znał, a miał przyjaciół między górnikami tak żelaza jak węgla, między robotnikami jak między posługaczami wysokich pieców, między cieślami jak między kowalami, żaden z nich nigdy nie przekroczył bramy A.

Z wielkiem więc uczuciem ciekawości i przyjemności stanął sam u tej bramy. Przekonał się wkrótce, że ostrożności, jakie tam przedsiębrano, bardzo były surowe.

I tak spostrzegł najprzód, że go oczekiwano. Dwóch ludzi w szarych mundurach, z szablą u boku i rewolwerem u pasa, znajdowało się w loży odźwiernego. Loża ta, jak izdebka siostry zakonnej pilnującej klasztornego koła, miała dwoje drzwi, jedne na zewnątrz a drugie na wewnątrz wychodzące; drzwi te nigdy nie otwierały się jednocześnie.

Przejrzano i poświadczono najprzód przepustkę Marcelego, następnie podano mu białą chustkę; młodzieniec nie okazał najmniejszego zdziwienia i dał sobie starannie zawiązać oczy dwom figurom w mundurze.

Ci wzięli go potem pod ręce i, ani słowa nie mówiąc, uprowadzili z sobą.

Uszedłszy dwa lub trzy tysiące kroków, weszli na schody; poczem, otwarto i zamknięto drzwi jakieś, wreszcie pozwolono Marcelemu zdjąć przepaskę z oczu.

Ujrzał się w sali bardzo prostej, zawierającej kilka krzeseł, czarną tablicę i szeroką deskę, a przy niej wszystko co potrzeba do liniowego rysunku. Wysokie okna o szybach matowych oświecały salę tę.

Prawie zaraz-że weszły do niej dwie osoby, mające powierzchowność uniwersyteckich figur.

— Wskazano na was jako na odznaczającą się osobistość — rzekł jeden z nich. Chcemy wyegzaminować was i przekonać się, czy można was przyjąć do oddziału wzorów. Jesteścież usposobieni odpowiadać na pytania nasze?

Marceli skromnie oświadczył, że gotów jest poddać się próbie.

Dwaj egzaminatorowie zadali mu wówczas kolejne pytania z chemji, geometrji i algebry. Młody robotnik zadowolnił ich całkowicie tak jasnością, jak dokładnością odpowiedzi swoich. Figury, które kredą kreślił na tablicy, były wyraźne, kształtne i swobodne. Zrównania algebraiczne szły jedne za drugiemi w równych, ścieśnionych szeregach, jak linje wyborowego regimentu. Jedno z dowodzeń mianowicie było tak znakomite a zarazem nowe dla sędziów, że ci zapytali go ze zdziwieniem, gdzie się tego wyuczył.

— W Szaffuzie, w moim kraju, w elementarnej szkole.

— Zdajesz się być dobrym rysownikiem?

— To był najlepszy dział mój.

— Nie ma wątpliwości, że doskonale uczą w Szwajcarji — rzekł jeden z egzaminatorów do drugiego... Zostawimy cię samego na dwie godziny, dla wykonania tego rysunku — mówił dalej, podając kandydatowi wizerunek dosyć skomplikowanej maszyny parowej w przecięciu. Jeżeli załatwisz się z tem dobrze, zostaniesz przyjęty ze słowami: *Zupełnie zadawalniający i wyższy...*

Zostawszy sam Marceli, z zapałem wziął się do roboty.

Kiedy sędziowie wrócili na godzinę naznaczoną, tak byli zachwyceni rysunkiem jego, że do obiecanych słów dodali następne: *Nie mamy rysownika z równym talentem.*

Szaro ubrani jegomoście pochwycili go znowu i z taką samą ceremonją, to jest z oczyma zawiązanemi, zaprowadzili do bióra głównego dyrektora.

— Przedstawiony jesteś do jednej z pracowni rysunku w oddziale wzorów — rzekł do niego ten ostatni. Czy zechcesz poddać się warunkom regulaminu?

— Nie znam ich — rzekł Marceli — ale przypuszczam, że są możebne do spełnienia.

— Oto one są: 1. Przez cały czas trwania twego zobowiązania się musisz mieszkać w samymże wydziale. Za szczególnem tylko i zupełnie wyjątkowem pozwoleniem, będziesz mógł wyjść z niego. 2. Musisz się poddać pod zarząd wojskowy i pod groźbą kar wojskowych być

ślepo posłusznym naczelnikom swoim. W zamian za to, zaliczonym zostaniesz do podoficerów czynnej armji i, stopniowo awansując, możesz dojść do najwyższych stopni. 3. Pod przysięgą zobowiążesz się nigdy nikomu nie wyjawić nic z tego, co będziesz widział w oddziale, do którego zostaniesz przyjęty. 4. Listy twoje, tak do ciebie jak od ciebie, będą przechodziły przez ręce i cenzurę naczelników twoich i korespondencja musi ograniczyć się do osób rodziny twojej tylko.

— Krótko mówiąc, jestem w więzieniu — pomyślał Marceli.

Poczem odpowiedział po prostu:

— Warunki te wydają mi się sprawiedliwe, i gotów jestem przyjąć je.

— Dobrze. Podnieś rękę... Przysięgaj... Jesteś mianowany rysownikiem w 4-ej pracowni. Mieszkanie zostanie ci wyznaczone, a co do stołu, ten znajdziesz tutaj w bardzo dobrej garkuchni... Nie masz rzeczy swoich z sobą?

— Nie, panie. Nie widząc, czego chciano odemnie, zostawiłem je u mojej gospodyni.

— Poszle się po nie, bo sam nie możesz już wyjść z oddziału.

— Dobrze zrobiłem — pomyślał Marceli — że noty moje pisałem tajemnem pismem! Pięknie byłoby teraz, gdyby je znaleziono!...

Przed wieczorem dnia tegoż Marceli został umieszczony w ładnym pokoiku, na czwartem piętrze budynku mającego wielkie podwórze, i powziął już pewne wyobrażenie o życiu, jakie miał tam prowadzić.

Sądził teraz, że nie będzie ono tak smutnem, jak mu się zdawało z początku, koledzy jego, poznał się z nimi w restauracji, byli w ogóle spokojni i łagodni, jak wszyscy ludzie pracy. Chcąc rozerwać się trochę, bo automatycznemu życiu temu brakło wesołości, kilku z nich utworzyło orkiestrę, i co wieczór zabawiali się dosyć dobrą muzyką. Podczas rzadkich godzin swobodnych, umysł bogate mógł czerpać zasoby w bibljotece, w czytelni. Pod względem naukowym, nie brakło tu niczego. Specjalne kursa, wykładane przez znakomitych profesorów, obowiązkowe były dla wszystkich pracowników; oprócz tego egzamina i konkursy były częste. Ale brakowało powietrza, swobody w tym ciasnym obrębie. Było to niby kolegjum, ale z regulaminem bardziej obostrzonym i dla ludzi dorosłych. Otaczająca atmosfera ciężyła na wszystkich umysłach, nawet najwięcej oswojonych z żelazną karnością.

Zima ukończyła się wśród prac, którym Marceli oddał się duszą i ciałem. Jego pilność, doskonałość rysunków, nadzwyczajne postępy w nauce, jednogłośnie przyznane przez wszystkich nauczycieli i wszystkich egzaminatorów, wyrobiły mu w krótkim czasie pewną sławę w kółku tych ludzi pracowitych. Wszyscy się na to zgadzali, że był najzdolniejszym, najlepszym, najbogatszym w pomysły rysownikiem. Jeżeli jakaś trudność zachodziła, natychmiast udawano się do niego. Sami naczelnicy nawet uciekali się do jego doświadczenia z owem poważaniem, jakie prawdziwa zasługa zawsze potrafi zdobyć sobie, nawet u najzawistniejszych ludzi.

Ale jeżeli młody człowiek rachował na to, że dostawszy się do oddziału wzorów, przeniknie tajemnicę, to się omylił bardzo.

Życie jego upływało w obrębie żelaznej kraty, mającej trzysta metrów średnicy, która otaczała Środkową dzielnicę. Umysłowa czynność jego mogła i musiała sięgnąć najdalszych gałęzi przemysłu metalurgicznego.

W praktyce ograniczała się do rysunków maszyn parowych. Były one rozmaitych rozmiarów i różnych sił, dla rozmaitych przemysłów i użytków, dla okrętów wojennych i drukarskich pras; to była specjalność jego. Podział pracy, posunięty do ostatecznych granic, ściskał go w kleszczach swoich.

Po czterech miesiącach, przepędzonych w oddziale A, nie więcej jak przedtem wiedział o całości tego co się robiło w Stalowem mieście. Co najwyżej, zebrał trochę ogólnych wiadomości o organizacji, w której sam, pomimo zasług swoich, był tylko nic nieznaczącem kółkiem. Wiedział, że środkiem pajęczyny, którą Stahlstadt wyobrażało, była Wieża Byka, rodzaj olbrzymiego gmachu, który panował nad wszystkiemi sąsiedniemi zabudowaniami. Dowiedział się także, z legendowych opowiadań garkuchni, że osobiste mieszkanie Herr Schultze'go znajdowało się u podnóża owej wieży, i że słynny tajemny gabinet był w środku jej. Dodawano również, że sala ta sklepiona, zabezpieczona od pożaru i ufortyfikowana wewnątrz tak jak monitor na zewnątrz, zamykała się drzwiami ze stali zaopatrzonemi w zamki strzelające, godne najbardziej podejrzliwego banku. Ogólnie mniemano zresztą, że Herr Schultze pracował nad ukończeniem machin wojennych, siły i doskonałości nieznanej dotąd, a mających na celu zapewnić wkrótce Niemcom powszechne panowanie.

Najprzód Marceli tworzył najzuchwalsze plany wdarcia się lub dostania się jakimkolwiek sposobem do owej zaczarowanej fortecy, której tajemnicę chciał posiąść koniecznie. Nie mógł wynaleść nic praktycznego. Mury grube, ponure, w nocy oświecone potokami światła, strzeżone przez pewną wartę, stały przed nim jak nieprzezwyciężona przeszkoda. Chociażby nawet potrafił przedrzeć się mimo jednej z tych straży, cóż obaczyłby? Szczegóły, zawsze szczegóły, nigdy całości!

Mniejsza o to. Przysiągł sobie, że nie ustąpi, i dotrzyma przysięgi tej. Chociażby miał czekać lat dziesięć, nie opuści stanowiska. Musi nakoniec wybić godzina, w której tajemnica stanie się jego własnością! Musi tak być. Francja-miasto rozwijało się pomyślnie; dobroczynne instytucje jego sprzyjały wszystkim i każdemu, wskazując zarazem ludom zniechęconym nowy widokrąg. Marceli nie wątpił, że w obec takiego powodzenia rasy łacińskiej, Schultze więcej niż kiedy pragnąc musi wykonać swoje pogróżki. Samo Miasto Stalowe i prace jego były tego dowodem.

Tak upłynęło kilka miesięcy.

Pewnego dnia, w marcu, Marceli po raz tysiączny może powtórzył sobie samemu tę przysięgę Anibala, kiedy dano mu znać, że główny dyrektor ma mu coś powiedzieć.

— Otrzymałem od Herr Schultze'go — rzekł mu ten wysoki dygnitarz — rozkaz przysłania mu najlepszego rysownika naszego. Pan nim jesteś. Proszę złożyć rzeczy swoje; przejdziesz do wewnętrznego obwodu. Jesteś awansowany na porucznika.

A zatem, w tejże właśnie chwili, kiedy tracił już prawie nadzieję, loiczne i naturalne następstwo heroicznej pracy jego, zjednało mu ów tak upragniony przystęp! Marceli tak był przejęty radością, że uczucie to, mimowoli jego, odbiło mu się na twarzy.

— Bardzo mi przyjemnie, że mogłem zwiastować tak dobrą wiadomość — mówił dalej dyrektor — i radzę panu tylko byś wytrwał na drodze, którą idziesz tak odważnie. Najświetniejsza przyszłość czeka pana. Możesz pan odejść!

Nakoniec, po tak długiej próbie, Marceli ujrzał cel, do którego tak uparcie dążył!

W kilka minut złożył odzienie swe do walizki i w towarzystwie szarych ludzi dostał się do ostatniego muru, którego jedyna brama, wychodząca na drogę A, mogła być tak długo jeszcze zamknięta przed nim.

Znalazł się u stóp owej niedostępnej Wieży Byka, której dotąd nasrożoną głowę widział zdala niknącą w obłokach.

Widok, jaki odkrył się przed nim, należał z pewnością do najbardziej niespodzianych. Wyobraźcie sobie człowieka, nagle, odrazu przeniesionego z pracowni europejskiej, hałaśliwej, pospolitej, w głąb dziewiczego lasu zwrotnikowej strefy. Taka to niespodzianka czekała Marcelego w środku Stahlstadtu.

Dodać należy jednak, że dziewiczy las zyskuje wiele na opisach, jakie podają o nim wielcy pisarze, i podczas kiedy park Herr Schultz'a był jednym z ogrodów najlepiej uczesanych. Wysmukłe palmy, gęste banany, grube kaktusy, tworzyły ciemną gąszcz. Pnąc się rośliny z wdziękiem opasywały wiotkie eucalyptusy, zwieszały się zielonymi wieńcami lub opadały w bogatych warkoczach. Najdziwaczniej wyglądające tłuste rośliny kwitły w gruncie. Ananasy i gojawy dojrzewały obok pomarańcz. Kolibry i ptaki rajskie roztaczały na wolnem powietrzu przepych pierza swego. Nakoniec, sama temperatura była tak zwrotnikową, jak cała roślinność.

Marceli wodził oczami, szukając kaloryferów i okien, które dokonywały cudu tego, i osłupiał na chwilę, widząc tylko błękit nieba.

Później przypomniał sobie, że niedaleko ztamtąd była kopalnia węgla, paląca się ciągłym ogniem, zrozumiał, że Herr Schultze dowcipnie zużytkował te skarby podziemnego ciepła i, metalicznemi rurami sprowadzając je, urządził stałą temperaturę cieplarni u siebie.

Ale chociaż rozum młodego Alzatczyka wytłumaczył mu zagadkę, oczy jego jednak oczarowane były zielonością trawników, a nozdrza z zachwytem pochłaniały zapach, napełniający atmosferę. Wynagradzał sobie teraz sześć miesięcy czasu, które spędził nie widząc ani jednego zdźbła trawy. Ulicą wysypaną piaskiem doszedł po nieznacznej pochyłości do marmurowych schodów, po nad którymi panowała wspaniała kolumnada. W tyle wznosiła się olbrzymia masa wielkiego czworogranego gmachu, który był jak gdyby podstawą Wieży Byka W przysionku Marceli spostrzegł siedmiu czy ośmiu lokajów w czerwonej liberji i szwajcara z kapeluszem o trzech rogach i halebardą; zauważał też bogate kandelabry z bronzu między kolumnami, a kiedy wstępował na stopnie, usłyszał lekki huk, z którego domyślił się, że pod stopami jego przechodziła podziemna żelazna kolej.

Marceli powiedział swoje nazwisko i natychmiast został wprowadzony do przedpokoju, który był prawdziwem muzeum rzeźby. Nie zatrzymując się w nim, przeszedł jeden salon czerwono-żółty, potem salon czarno-żółty i przybył nako-

niec do salonu żółto-złotego, gdzie lokaj zostawił go samego na pięć minut. Nakoniec został wprowadzony do przepysznego gabinetu zielono-złotego.

Herr Schultze we własnej osobie, palący długą glinianą fajkę i popijający piwo ze sporego kufla, wśród całego tego przepychu robił wrażenie plamy z błota na lakierowanym bucie.

Nie podniósłszy się, nie odwróciwszy nawet głowy, Stalowy król rzekł zimno i obojętnie:

— Jesteś rysownikiem?

— Tak, panie.

— Widziałem rysunki twoje. Bardzo są dobre. Ale ty nic więcej oprócz maszyn parowych nie umiesz.

— Nigdy mię nie pytano o nic więcej.

— Czy znasz trochę balistykę?

— Studjowałem ją dla własnej przyjemności, w chwilach swobodnych.

Odpowiedź ta przemówiła do serca Herr Schultz'a. Raczył spojrzeć na swego podwładnego.

— A zatem podejmujesz się wyrysować razem ze mną armatę!... Zobaczymy jak się z tego wywiążesz!... Ah! trudno ci będzie zastąpić miejce tego głupca Sohne'a, który zabił się dziś rano, obracając w ręku woreczek z dynamitem!... Bydlę! mógł nas wszystkich wysadzić w powietrze!

Trzeba wyznać, że ten brak wszelkiego uczucia nie wydawał się bardzo oburzającym w ustach Herr Schultze'a! (C. d. n.)

KRONIKA NAUKOWA

PRZEZ

B. ABAKANOWICZA.

Wprowadzenie nowych wynalazków w praktykę, nie napotyka już teraz takich jak dawniej trudności. Na zastosowanie praktyczne lokomotyw, trzeba było czekać długie lat dziesiątki i walczyć z rozmaitemi przesądami. Telegrafy z trudem wielkim wyrobiły sobie po latach to stanowisko, jakie obecnie zajmują. Dziś rzeczy się mają inaczej. Tyle nowych a ważnych usług oddano ludzkości wynalazkami naszego wieku, że publiczność chwyta każdą nową wiadomość z entuzjazmem, wierzy nawet nieraz w humbugi, a jeśli rzecz nowa ukaże się praktyczną, to wnet rozpowszechni się na całej kuli ziemskiej. Telefony, które się parę lat temu dopiero pojawiły, przez rok jeden były niczem innem, jak tylko zabawką naukową, dziś w praktyce rozpowszechniają się z zadziwiającą szybkością.

Naturalnie, że Ameryka wyprzedza wszystkich pod tym względem. Nowy York pokryty już jest siecią drutów telefonicznych i z dniem każdym zakładają się liczne, nowe linje komunikacyjne.

Doniosłość i praktyczność tego rodzaju komunikacji, stanie się widoczną, gdy się przyjrzymy urządzeniu Nowojorskiego biura telefonicznego, noszącego tam nazwę: *The telefonic central office.*

Na głównej ulicy Nowego Yorku, na *Broadway,* znajduje się ta stacja środkowa. Od tego biura rozchodzi się na wszystkie strony miasta przeszło 600 drutów, które w tem miejscu formalnie zaciemniają niebo. Biuro jest jakby pająkiem umieszczonym w samym środku pajęczyny. Każdy nowo przybywający prenumerator, otrzymuje swój własny drut, który łączy jego mieszkanie, wprost z biurem centralnem. Dotąd przeważnie kupcy, bankierzy i dziennikarze należą do klientów telefonicznego biura. Za opłatą pewną miesięczną, każdy prenumerator może rozmawiać, kiedy mu się podoba, ze wszystkimi innymi, których ma spisanych na liście uzupełnianej przybytkiem nowych klientów.

Porozumienie odbywa się w sposób następujący. Dajmy na to, że klient X. chce się rozmówić z klientem Y. W tym celu naciska mały guzik, znajdujący się na jego biurku, a który przepuszcza prąd z małej elektrycznej baterji, do drutu łączącego pana X. z biurem centralnem. Na ścianach tego zakładu, urządzone są tablice takie, mniej więcej, jakich używają w hotelach do poznania numeru, w którym na lokaja zadzwoniono. Spada klapka i odkrywa numer mieszkania tego, który dzwonił. Otóż to samo się dzieje za pociśnięciem guzika przez pana X. w centralnem biurze telegraficznem. Otwiera się tam klapka i urzędnicy biura spostrzegają numer odkryty pana X. W tej chwili łączą swój ręczny telefon i zapytują pana X. czego sobie życzy. — Połączcie mnie z panem Y. — odpowiada.

Wtedy urzędnik za pomocą dzwonka elektrycznego, który w mieszkaniu pana Y. tak długo dzwoni, aż on nie da znać, iż już usłyszał, przywoływa go do telefonu i powiada, że pan X. chce się z nim rozmówić. „All right!" słychać z blaszki telefonowej i za chwilę drut prowadzący do pana Y, jest złączony z drutem idącym od pana X, i obaj klienci mogą swobodnie z sobą rozmawiać.

Dziś przy pomocy tego biura telefonicznego prowadzi się około 6000 rozmów dziennie.

W tej chwili zaprowadzają druty telefoniczne między Nowym Yorkiem a Filadelfią; otrzyma się ztąd tę korzyść, że każdy klient, może rozmawiać w każdej chwili ze wszystkimi innymi poszczególnie, znajdującymi się w obu miastach.

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

Wywiązała się dyskusja, z której wynikło, że jedynym sposobem zaprowadzenia ładu ortograficznego, gramatycznego, jeograficznego i politycznego w *Orędowniczce Wilkowskiej*, jest nabycie jej na zupełną własność dla dra Mitręgi, i uzupełnienie redakcji świeżemi siłami. Dostarczenie pieniędzy miało być rzeczą hr. Albina, dostarczenia »świeżych sił«, podjął się dr. Mitręga. Głównym celem tej akcji miało być zwalczanie partji sokołowskiej i organu jej, *Raka,* jako steku wstecznictwa, rozpanoszonego w całej Milicji i we wszystkich jej przyległościach. Ponieważ zaś partja ta liczyła do swego grona także ober-komisarza i ober-szpitalnika krajowego, i ponieważ miała po swojej stronie poparcie Chaocji, więc walka toczyć się miała jednocześnie z temi wszystkiemi potęgami, i przyjętą przez nie zasadą, że równie Milicja jak Chaocja wobec grożącej wojny między Laputańczykami a Beocją, powinne zachować się zupełnie neutralnie. W tej kwestji dr. Mitręga był niemal powagą, niedawno bowiem wydrukował był o niej swoim nakładem broszurę, napisaną przez pewnego botanika, nadzwyczaj biegłego w filologji, i gruntownie później rozebraną przez znakomitego agronoma Pustogumieńskiego, słynnego z prac swoich o żegludze parowej u Fenicjan. Broszura ta wykazywała jak na dłoni, że Beocja w haniebny sposób uciemięża ludy Sudawów i Galindów, złączone węzłem wspólnego pochodzenia z Milicjanami, którzy, jak powszechnie wiadomo, pochodzą równie jak tamci, od starożytnych Jaźwingów, za czasów Nerona okrótnie przez Attylę w pień wyciętych. Na tej zasadzie dowodziła broszura dra Mitręgi, że Milicjanie nie mogą żywić najmniejszej sympatji ku Beocji, ale owszem cieszyć się powinni, jeżeli ją Laputańczycy z kretesem zawojują. W ciągu rozmowy z hr. Skirgiełłą atoli, nie uszło baczności tak biegłego polityka, jakim był dr. Emanuel Mitręga, że hr. Albin skłania się raczej do przeważającego w Wilkowie, przeciwnego zdania, tj. że byłby za wojną z Laputańczykami, i że jaźwingowskie pokrewieństwo Milicjan z poddanymi Beocji bynajmniej go nie rozczula. Spostrzeżenie to byłoby poraziło gromem każdy umysł mniej potężny, ale dr. Mitręga w jednej chwili opanował sytuację. O cóż chodziło? O walkę ze wstecznictwem sokołowskiem, o pognębienie *Raka*, a podniesienie *Orędowniczki;* a więc, zgoda na wojnę z Laputańczykami! Szanowny doktor nie wspomniał nawet o swojej broszurze, nie próbował rozwijać zawartych w niej poglądów, ale owszem oświadczył, że gdyby hr. Albin wystąpił równie siarczyście przeciw Laputańczykom wobec sekretarza Kluszczyńskiego i jego partji, byłby jednogłośnie wybrany ambasadorem do Krachenburga, albo też, gdyby sam nie chciał, mógłby wskazać takiego kandydata, jakiego sam zechce. Hr. Albin uchwycił się z zapałem tego pomysłu, i stanęło na tem, że przybędzie on osobiście jeszcze tego samego wieczora na poufne zebranie partji *Orędowniczki Wilkowskiej* w miejsce, które mu wskaże dr. Mitręga. Jednocześnie doręczył on doktorowi taką ilość »idealników«, jaką ten uznał za potrzebną do spłacenia redaktora Kosturskiego i do sprawienia świeżych sił ortograficznych itd. dla nowo nabytego organu.

Nie wiem, czyli to była radość z powodu tak szczęśliwie zainaugurowanej akcji, która po wyjściu od hr. Skirgiełły zdawała się przyczyniać jeszcze wzrostu słusznemu już i bez tego dr. Mitrędze, czyli też było to zwykłym skutkiem sporego pakietu »idealników«, wzdymającego jego kieszenie — dosyć, że kiedy uszedłszy kilka kroków spotkał krążącego tam ponoś umyślnie p. Światozmysła Oxenszlepa, dr. Emanuel wydawał się niezmiernie wielkim, a p. Światozmysł niezmiernie małym.

— Panie — rzekł Oxenszlep, zastępując drogę nowemu właścicielowi *Orędowniczki* — dlaczego chciałeś pan popsuć mi interes ze Skirgiełłą?

*

— Ależ... przyznasz pan, że ten dziennik, wychodzący po francusku w Krachenburgu za milicyjskie pieniądze, i broniący interesów birmańskich...

— No, wielkie rzeczy! Słuchaj mię pan, panie Mitręga! Podajmy sobie ręce, idźmy razem, a zobaczysz pan, że łącznemi siłami wyzyskamy całą Afrykę, Azję i Europę, a potem... a potem, weźmiemy się do Ameryki! Jabym to zresztą sam potrafił, gdybym miał o cztery cale więcej wzrostu, i gdyby ta szelmowska moja fizjonomia nie stała mi na zawadzie.

Dr. Mitręga skonfundowany był tą otwartością, przechodzącą wszelkie granice. Nie wiedząc, co odpowiedzieć — chociaż może zwykłemu śmiertelnikowi w podobnym wypadku odpowiedź zdawałaby się dość łatwą — nie wiedząc tedy z niewiadomego powodu, co odpowiedzieć, wyjąknął:

— Znamy się tak mało...

— O, ja pana znam doskonale, a i pan mnie poznasz z łatwością. Nie chwaląc się, posiadam *savoir faire*, jakiego poszukać w całym świecie. Opowiem panu na dowód tylko jeden wypadek, który miałem niedawno. Potrzeba mi było dla pewnego ważnego celu... publicystycznego, sięgnąć nieco głębiej do kasy sławnego bankiera Alfonsa Goldszylda. Wiedziałem, że jest on wielkim wielbicielem sławnego znowu poety Hektora Goulot, któremu dałem się przedstawić, ale nie śmiałem go prosić o rekomendację do figury finansowej. Na szczęście przypomniałem sobie, że istnieje w Belgii miłośnik literatury nie podejrzany o posiadanie pieniędzy, niejaki br. Alfons, z którym Hektor Goulot jest w wielkiej przyjaźni. Udałem, że mam interesa literackie w Belgii, i poczciwy poeta dał mi list, zaczynający się od słów »Mon cher Alphonse!« a kończący się słowami, że cokolwiek cher Alphonse dla mnie zrobi, to zobowiąże swojego Hektora tak, jakby to dla niego zrobił. List ten włożyłem w inną kopertę, i udałem się z nim jak w dym do Alfonsa Goldszylda. Głupi żydzisko taki był uszczęśliwiony epistołą świadczącą o jego zażyłości z wielkim człowiekiem, że bez najmniejszego wahania wyliczył mi 5000 idealników na cele... publicystyczne, i nie wiem doprawdy, czy nie powinienem mieć wyrzutów sumienia, że nie żądałem więcej...

— Podziwiam pana — odparł dr. Mitręga — ale przepraszam, nie mam czasu!

— A więc, do widzenia! — zawołał p. Oxenschlep.

—Dobrze, żem go się pozbył — dodał w duchu — muszę czemprędzej iść do Skirgiełły i gotówka zawsze lepsza niż podpis.

— Dobrze, żem go się pozbył — myślał także w duchu dr. Mitręga — ten oszust ma mię widocznie za równego sobie! Co za bezczelność! Cha cha cha! A zawsze: »cele publicystyczne!« Oszust, wierutny oszust!

W ten sposób medytując, wstąpił dr. Emanuel do pierwszego w całym Wilkowie handlarza koni i powozów. Po niejakim targu, nabył u niego parę wcale dobrze prezentujących się szpaków, angielskie chomąty i koczyk na nowo lakierowany i tak zbudowany, że od biedy mógł służyć za faeton do powożenia. Tenże sam przemysłowiec miał do zbycia kapelusz z galonem, buty ze sztylpami, i migdałowy surdut liberyjny z czerwonym kołnierzem. Niemniej też nastręczał na poczekaniu woźnicę, za którego mógł ręczyć, że bardzo często bywa trzeźwym. Woźnica zaprzągł konie, wdziawszy na siebie wymienione powyżej oznaki swojej godności i wsiadł na kozieł. Dr. Emanuel wsiadł do kocza, i teraz dopiero przypomniał sobie, że nie wie, jak się mieni jego Automedon.

— A jak się nazywasz?

— Marcin, proszę jaśnie pana.

— Umiesz usługiwać do stołu?

— Czemu nie? Byłem przez dwa lata lokajem u pani hrabiny Kwoczkowskiej!

— No, to jedź... do redakcji *Orędowniczki*, ale przez miasto!

Marcin cmoknął; szpaki ruszyły z miejsca wprawdzie trochę nierówno, ale dość żwawo. Dr. Emanuel rozparł się wygodnie w koczu i dał się huśtać po bruku z uczuciem niewysłowionej rozkoszy.

— Kosturski — myślał — potrzebuje pieniędzy, i przystanie na moje warunki, zwłaszcza jeżeli go zostawię w redakcji. Wartoby wziąć pomieszkanie przyzwoite, ale tymczasem mogę zostać i w hotelu; jest to dosyć *bon gendre* (dr. Mitręga mylił się czasem nietylko po łacinie, ale i po francusku). Zresztą, w hotelu łatwiej mi umieścić konie. Co to prawią o raju! Czy może być co bardziej rajskiego, nad *szyk* prawdziwy. — A, słuchaj — zawołał na Marcina — gdyby się ciebie kto pytał, u kogo służysz, to powiedz, że u pana barona Mitręgi.

— Dobrze, jaśnie panie! Prrr!

Kocz stanął przed redakcją *Orędowniczki*, której współpracownicy atoli, wbrew obyczajom małomiejskim, nie pojawili się w oknach i stracili tym sposobem okazję podziwiania rajskiego szyku swojego nowego szefa. Dr. Emanuel zastał ich zajętych żywą dyskusją. Redakcja otrzymała była przed chwilą telegram niemiecki, bardzo niejasno sformułowany. Brzmiał on tak:

BRESLAU HOPFENBEGEHRT 150 BIS 200 MARK

Referent spraw zagranicznych i ekonom polityczny *Orędowniczki* zgadzali się, że zachodzi tu pomyłka, a mianowicie, że cyfra 200 przypadkiem tylko dostała się w środek między dwie zgłoski: BIS i MARK. Telegram ma więc rozumieć się tak: »Wrocław. Hopfen żąda 150.200 od Bismarka.« Zachodziła atoli różnica zdań, najpierw co do charakteru i stanowiska tego wiele wymagającego Hopfena, a następnie co do natury żądanej cyfry. Sprawy zagraniczne mniemały, że jest jenerał Hopfen, który domaga się uzupełnienia swojego korpusu do 150.200 ludzi. Ekonomia polityczna dowodziła przeciwnie, że jest deputowany Hopfen, który żąda od Bismarka wykreślenia 150.200 z budżetu. Kronikarz wyrobił sobie w tej materji zupełnie odrębne zapatrywanie, dowodząc, że Hopfen jest ambasadorem duńskim, który 150 do 200 razy żądał widzenia się z Bismarkiem. Korektor kiwał tylko głową i jeżeli miał jaką opinję, to taił ją starannie. P. Kosturski zainterpelowany ofuknął się i wyszedł do swego pokoju.

O, dobrze, że pan redaktor przyszedł — zawołali wszyscy chórem, zobaczywszy dr. Mitręgę. — Pan redaktor nam to najlepiej wytłumaczy!

Obstąpili go więc wszyscy, wetknęli mu telegram w rękę, i każdy z zapałem począł bronić swojego zdania. Dr. Emanuel nie mówił nic, jeno namarszczył brwi i pochylił czoło, jak gdyby wpadał na ślad jakiejś niezmiernie zawiłej, czarnej politycznej intrygi. Za nim stanął zecer niecierpliwie czekający na manuskrypt i wyciągał szyję, ażeby także przeczytać zagadkowy telegram.

— To jakaś fatalna konjunktura — zdecydował nakoniec dr. Mitręga. — Będziemy mieli znowu coś nowego! Zawsze ten Bismark!

— Ależ proszę pana doktora — odezwał się skromnie zecer, zdoławszy nakoniec dojrzeć, o co chodzi — to jest telegram z giełdy zbożowej: »Wrocław. Na chmiel jest popyt, płacą 150 do 200 mark!«

Sprawy zagraniczne, ekonomia polityczna i kronika ulotniły się wobec tego wyjaśnienia i znikły po za stosami gazet na swoichbiórkach. Dr. Mitręga, nie mając gdzie zniknąć, zwrócił się do zecera i rzekł strofującym głosem:

— Mówiłem, że konjunktura, a kiedy konjunktura, to ma się rozumieć, że zbożowa, albo chmielowa. Czy jest pan Kosturski?

— Jest w swoim pokoju.

Dr. Mitręga udał się tedy majestatycznie do pokoju p. Kosturskiego, rusząjąc po drodze ramionami i powtarzając z lekceważeniem: Bismark, Bismark!

PISMIENNICTWO POLSKIE.

Pamiętniki jenerała Jeziorańskiego — Tom pierwszy — Lwów, 1880.

Z wielkiem upragnieniem oczekiwaliśmy zapowiedzianych od dawna, bo już od roku przeszło, *Pamiętników jenerała Jeziorańskiego*, który przepędziwszy całą młodość na Wschodzie, czynny w wojnie węgierskiej w roku 1848 a następnie krymskiej, przepędziwszy lat wiele w Serbji, za powrotem do ojczyzny odegrał jak wiadomo w partyzantce powstańczej roku 1863 jedną z ról główniejszych i w niejednem spotkaniu, a mianowicie w bitwie pod Kobylanką dał się dobrze we znaki Moskalom. Słusznie tedy spodziewaliśmy się, że jen. Jeziorański będąc naocznym świadkiem i aktorem tylu ważnych zdarzeń, składających przebieg ostatnich lat dziejów naszych, poda nam w swych Pamiętnikach bogaty zasób szczegółów, którym się zbliska przypatrzył, które miał sposobność dokładniej i w prawdziwszem niżeli ktokolwiek inny przejrzeć świetle. Tom pierwszy, obecnie wydany, poczyna się od roku 1848, zawiera przebieg wojny węgierskiej, a raczej działania legjonu polskiego w tejże wojnie, dalej pobyt autora w Serbji, nieco o wojnie krymskiej, nareszcie powrót do Warszawy. Dzieje roku 1863 będą drugim objęte tomem. Najbardziej zajęły nas w tomie niniejszym obrazki z życia serbskiego, któremu autor miał sposobność dobrze się przypatrzyć i kreślił z natury. Posiada on widocznie talent beletrystyczny — opowiada

barwnie i wdzięcznie. Mówiąc o wojnie krymskiej usiłuje wyłuszczyć przebieg dyplomatycznej akcji, która do wojny doprowadziła. Rzeczy to za nadto znane i niedające się streścić na kilku kartach pobieżnego pamiętnika. Wolelibyśmy byli, ażeby te karty zapełnił był obrazem ruchu i życia obozowego tylu rozmaitych armji, co w krwawych zapasach zetknęły się na półwyspie krymskim, powtórzeniem chociażby niektórych rysów charakterystycznych, co na tem tle wojennem pełnem grozy same nasuwały się pod pióro, bogatą treścią. Pamiętniki Jeziorańskiego czytają się z zajęciem i przyjemnością, a język wszędzie poprawny, styl barwny i potoczysty, jakiego nie spodziewaliśmy się nawet po ręce od młodu do szabli a nie do pióra wprawnej, nie mało wartości dodaje książce.

»Jagoda Mazowieckich lasów« przez Au—Lir. Toruń. Z drukarni J. Buszczyńskiego 1880. w dwunastce str. 62.

Radośną przychodzi nam podzielić się nowiną. Oto wśród ogólnej posuchy i martwoty poetyckiej, gdy wieszcze narodowi zamilkli a młode pokolenie poetów, jeśli ich tak nazwać się godzi, brak uczucia i natchnienia starają się zastąpić wymuskaną formą, naraz nasz Teofil Lenartowicz kryjąc się pod początkowe litery Au (tor) Lir (enki), podaje krajowi przedziwnie piękną „Jagodę“ a dla siebie nowe zdobywa nieśmiertelne laury. „Jagoda,“ to prawdziwe cacko to arcydzieło w swoim rodzaju; podobnie ślicznej sielanki nie posiadała może dotychczas nasza literatura. Ażeby taki cudowny namalować obrazek, ażeby tam, gdzie niejedni tylko błoto, ciemnotę i nędzę widzieli, dojrzeć takie serdecznie błyszczące brylanty, dojrzeć i nie chwycić — trzeba mieć istotnie namaszczenie poetyckie, trzeba na obczyźnie tak zatęsknić zakrajem i tak ukochać nasz lud, jak go ukochał Lenartowicz.

»Jagoda« ma na sobie dziewiczą barwę, wykąpana w rosie porannej, tchnie wonią świeżości i cała jest pełną uroku. Odczytywaliśmy ją kilkakrotnie i za każdym razem z coraz większą lubością. Streszczenie tego poemaciku jest rzeczą niepodobną, bo cała jego treść tak jest prostą, jak prostem jest uczucie płynące z serca poety. Autor kreśli pierwsze chwile dziecka urodzonego pod strzechą:

„Urodziło nam się dziecko,
Pod tą strzechą Mazowiecką,
Urodziło się, bo miało,
Bo tak było przeznaczone,
Popłakało, popatrzało
Na tę stronę i tę stronę,
Podano je matce młodej,
A zaś dzieciom powiedziano:
Że je przyniósł bocian z wody
Rano, rano, bardzo rano...
Stary bocian co ku dniowi
Chodzi, chodzi, dzieci łowi.

Nie da się ująć słowami prozy tych pierwszych wrażeń dziecka, które powiada

„Darujesz mi mą prostotę
Dopraszam się pańskiej łaski“
. . . .
. . . .
„I drżę cały szczęściem takiem
Kwiatów drżeniem i szelestem,
Jestem dzieckiem, jestem ptakiem,
Jestem niczem i czemś jestem,
Co się samo z siebie świeci,
Zachwyca się i w świat leci“...

Minęły błogie dziecięce lata:

„Przeszedł wiek szczęśliwy, złoty,
Łzy polały się stokrotnie
I tak było mi samotnie,
Żem aż wysechł od tęsknoty;
A czyż na to nie ma zioła?
Więc znalazło się przypadkiem;
Nie szukane, Bóg mi świadkiem;
Raz z wiaderkiem wyszło z sioła
Jak poranek śliczna młoda,
Nazywała się: *Jagoda.«*
. . . .
. . . .
„A Jagoda ta niecnotka
Bez rodzica, bez rodziny
Pomagała komornicy
U udoju, kołowrotka.“
. . . .
. . . .
„Od miłości kto się kryje
To też to jak od przypadku...
. . . .
„Powitała, popatrzyła,
Po biednemu przyodziana
I tak mnie się wydawała
Jakby nigdy niewidziana“
. . . .
. . . .
„Szczęśliwy kto na pędzlu zna się,
Malowałbym ciebie ptaszku
Złotym pędzlem na atłasie
I na samym adamaszku“.
. . . .
. . . .
„Jakby słońce moje miła
Na mych oczach się odbiła,
Gdzie się zwrócę — wszędzie wszędzie,
Złote kółka latające.
Chcesz czy niechcesz, będzie słońce,
Chcesz czy niechcesz, słońce będzie.....“
. . . .
. . . .
„Coś mówiło przez nią skromnie
To co łączy i co grodzi,
Że aż nie raz przeszło po mnie:
Czy się tego dotknąć godzi...

A tak biedna sama jedna
Była moja ta jedyna,
Jedna na niej sukienczyna,
I koszulka pono jedna,
Ale choćby i bez tego
Czy ubóstwo to co złego?
Zechce mieć trzewiczki złote,
To ja pójdę na robotę.

Pomijamy mnogo ślicznych ustępów a przytaczamy jeszcze następujące:

„Mała Jagnia, bałamutka,
Poszła za mąż w łońskie lato,
Sypiać lubi, a noc krótka,
I kogutek już nad chatą
Niegodziwy na dzień pieje:
Wstawaj Jagniu do kądziele.“
. . . .
. . . .
„Nie na popiół to ogniska
Pierwsze wzroki rzuca młoda,
Tu łóżeczko, tu kołyska,
Nad kołyską piersi poda:
. . . .
. . . .
A dziecina jak aniołek
Wybija się z pod pościołek,
Rączką chwyta nóżkę małą,
Bo mu się tak spodobało.

Rzeczywistość nie zawodzi,
A miłości tylko trzeba,
Jednakowo kółko chodzi,
To przęślicy i to nieba:
Bóg owija nić o słońce
I ta nić się życiem zowie,
I to kółko latające
Złotą nicią też odpowie:

Tak się ludzka wije praca,
Co uświęca i wzbogaca.
. . . .
. . . .

Rozkochany mąż woła:

— Na pocałuj grają zorze
Nasze dziecię, nasze, nasze...
Ach, jaki ja chłop, mój Boże;
Ramionami świat opaszę....
. . . .
. . . .

A żona:

Przycisnęła, pochwyciła,
Mało dziecka nie zagniecie,
Zna swą siłę swoja siła,
Chichoce się małe dziecię
Pełna śmiechu kmieca chata,
Kmieca chata nie bogata.

Podaliśmy czytelnikom luźne wyrwane ustępy, niby pojedyńcze kwiatki polne wyjęte z prześlicznie ułożonego bukietu. Kwiateczki te acz skromne są i pełne prostoty, posiadają woń i właściwy sobie urok. Nie wątpimy że czytelnicy zapragną „Jagody.“ Kończąc wyrażamy radość, że nasz Teofil Lenartowicz bez względu na wiek i bolesne przejścia w życiu, nuci jeszcze tak cudnie, z prawdziwie młodzieńczą siłą i zarazem rozgrzewa serca ziomków miłością do ludu.

Z. O.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Echa powyborcze. Różne manewra przedwyborcze. Reduta na teatr poznański. Kilka uwag o repertoarze. Nowiny literackie. Posiedzenie towarzystwa przyrodników.)

Po ożywionych, a w tak niespodziewany sposób rozwiązanych wyborach do Rady miejskiej, pozostały już tylko echa... Powyborcze te odgłosy pojawiają się w kształcie procesów, skandalików, narzekań, śniadanek i t. p. Agitatorowie cieszą się, że będzie znowu *heca,* bo prawdopodobnie skrytynium okaże, iż uzupełnić trzeba będzie Radę wyborem nowych dwudziestu ojców. Z góry już można sobie przedstawić, jak zakwitnie literatura... plakatowa, jak się uwijać będą, ksiądz Stojałowski z profesorem. Ciesielskim i jakich nowych „manewrów wyborczych“ się doczekamy. Te „manewra“ narobiły dużo wrzawy w dniach ostatnich. Okazało się, że szczególniej praktycznemi są dwa — bardzo dowcipne, i bardzo sympatyczne.

Pierwszy rodzaj manewru polega na tem, że chcąc uniemożliwić jakiegoś kandydata, rzuca się nań oszczerstwem. Powiada się z uśmiechem na twarzy, iż jest ów pretendent do radzieckiego krzesła nie mniej, nie więcej, jak tylko... oszustem, robi to naturalnie efekt, a że potem sąd za to skarze na jakieś marne cztery tygodnie kozy, cóż to znaczy wobec wyższej, politycznej zasady.

Drugi manewr wyborczy wymaga większej inteligiencji agitatora, większego sprytu i większej jeszcze dozy... poświęcenia dla sprawy. Z duszą i miną baranku bez skazy, ze słowy gorącej miłości na ustach, w księżej odzieży idzie się do tłumu „ryczących rewolucjonistów“ schlebia jego namiętnościom, szuka aljantów wszędzie gdzie ich tylko znaleść można a wobec swoich usprawiedliwia się z tego postępowania, podając jako motywa „roztropność“, wymagającą udawania dla celów wyższych, dla zwalczenia „liberalnego kierunku.

Pozwolimy sobie zapytać, panów sprzymierzeńców ks. Stojałowskiego, za kogo on ich uważał?

Niech żyje „Łączność i Zgoda“!

* * *

Reduta na teatr poznański przyniosła czystego dochodu około 1.700 złr. Nie było na niej żadnych nadzwyczajności, a jednak Lwowianie pospieszyli, o ile tylko mogli przyjść z pomocą teatrowi, walczącemu o swój byt w innej dzielnicy kraju naszego.

Reduty już u nas nazbyt spowszedniały, aby się niemi ktokolwiek goręcej chciał interesować. Kilkugodzinna włóczęga wśród pyłu i kurzu, wśród niemych masek, złe wina i jedzenie są raczej zabawami odstraszającemi, niż pociągającemi.

Zaginęła już u nas tradycja dawnych zabaw, pełnych fantazji i animuszu, rozmowa pełna dowcipu, wesołość ukazująca naiwnie wszystkie zęby, szczerość zabawy streszczająca się w starem „hulaj dusza“!

Troska zasiadła w umysłach, i bawiący się wyglądają raczej na filozofów ze szkoły pessymistycznej, medytujących nad nieszczęściem urodzenia się, które im przypadło w udziale, niż na istoty rodzaju ludzkiego chcące się zabawić.

Na rozmaite sposoby próbowano emocjonować czemkolwiek publiczność i wpadano na pomysły wcale oryginalne...

Przypominam sobie jak parę lat temu ogloszono na wielkim afiszu redutowym, że pokazaną będzie sławna historja p. t. „Morderstwo na Zarwanicy“.

I rzeczywiście popełniono morderstwo... na nerwach publiczności. Ubrano manekina ludzkiego i zrzucono go niespodzianie, podczas udanej kłótni z galerji, na środek parteru.

Parę kobiet zemdlało, inne przyjść do siebie nie mogły przez czas długi, a u najobojętniejszego ciarki przeszły po całem ciele.

Nieprawdaż, że to było zabawne?...

Tym razem nie było tak pięknych rzeczy. Zapalono parę świateł elektrycznych, przy jego blasku odtańczono mazura i panie sprzedawały w namiocie ciastka, cukierki i perfum kropelki.

Panie, które łaskawie przyjęły udział w bazarze, należały do świata artystycznego Tragiczne siły zawiodły, ale natomiast wesoła i miła muza wysłała swe przedstawicielki. Przyjemnie było widzieć obok siebie, rozdzielone tylko tacą, na którą rzucano datki, obie uśmiechnięte twarzyczki, p. Zimajer i p. Wisniowskiej, do których tyle już z odległości serc pukało, poczynając od parteru, a kończąc na najwyższych sferach kołożyrandolowych.

* * *

Gdy mowa o teatrze, nasuwa się nam ogólna uwaga co do jego prowadzenia.

Uwaga ta ma na celu pospiech gorączkowy z jakim u nas bywają nowe sztuki wystawiane, z widoczną szkodą dla nich, a dodamy jeszcze, i dla repertoaru i dla kasy.

Niedostateczne przygotowanie uniemożliwia powtarzanie, gdyż publiczność zaspokoiwszy ciekawość treścią sztuki na pierwszem przedstawieniu, bez zasmakowania w grze artystów, czuje się zwolnioną od pójścia powtórnego na znaną już sztukę i czeka na nową; — dyrekcja widząc pustki w sali na drugiem przedstawieniu, naraża na publiczność i... znowu na prędce daje nową sztukę, którą ten sam los spotyka, i t. d. Owoce z tego pospiechu takie, że uskarżamy się na złe czasy, złą publiczność, złe sztuki, zły kierunek, złych aktorów, choć w gruncie rzeczy tak nie jak i z łatwością ten powtarzający się przymiotnik zamienilibyśmy na inny zadowalający nas, gdybyśmy nieco te „ognisto-kopyte“ rumaki pospiechu w pędzie powstrzymywali. Najbiedniejszymi i najwięcej pożałowania godnymi są tu artyści, zmuszeni całe foljały ról za pomocą pospiesznej maszyny wtłaczać sobie w komórki pamięciowe mózgu, bez żadnej korzyści dla sztuki a ze stratą dla swego talentu. Gdy aktor dla braku czasu nie jest wstanie objąć pamięcią swej roli, tam o wypracowaniu, obrobieniu należytem charakteru postaci przedstawianej mowy być nie może. Jeśli mimo to od czasu do czasu który z artystów zelektryzuje nas swą grą, dzieje się to tylko momentalnie i rzadko kiedy i w tym wypadku sam tylko „dar Boży“ talent, ma zasługę, talent, który łamiąc przeszkody mechaniczne rwie się niecierpliwie na widownię. Ale te wybłyski, to szamotanie się ciągłe tylko mu stratę przynosi, bo zużywa nadaremnie i bezużytecznie.

* * *

Nowiny literackie.

W dzisiejszym zeszycie podajemy powiastkę Władysława Okońskiego (dra Aleksandra Świętochowskiego), autora, który u nas bardzo mało jest znanym, a który w szeregu młodych sił literackich Warszawy, zajął stanowisko pierwszorzędne. Znanym on jest tutaj tylko ze sceny, z owej komedji p. t. „Niewinni“, która w swoim czasie tyle wrzawy narobiła i tylokrotnie na naszych scenach przedstawioną była. Obok Litwosa jedyny to może nowy talent potężny, którego prace w literaturze zostaną.

Przygotowania do zeszytu „Na głodnych“ już są na ukończeniu i w tym miesiącu ujrzymy zapewne to pismo na księgarskich półkach. Powiadają, że nadesłano bardzo wiele pięknych rzeczy, tak rysunków jak i utworów literackich. Około 300 osób ma zająć po kilka wierszy w łamach tego jednodniowego pisma.

We Lwowie za dni kilka pojawi się pierwszy zeszyt pisma p. t. „Przegląd społeczny, ekonomiczny, polityczny i handlowy“. Pismo to dość znacznych rozmiarów, okazywać się będzie dwa razy na tydzień.

Bliziński ukończył nareszcie swoją komedję i już ją sprzedał panu Kalicińskiemu (artysta teatru prowincjonalnego w Królestwie) podobno za sumę, jak na nasze stosunki, bardzo wysoką. Znakomity ten autor, pierwszy bez zaprzeczenia z żyjących naszych komedjopisarzy, przygotowuje teraz do druku drugą serję swych „Dziwolągów“, obrazków humorystycznych, pełnych życia, werwy i artyzmu. *Tydzień* niedługo drukować będzie najnowszą pracę Blizińskiego.

* * *

We wtorek odbyło się zwykłe posiedzenie Towarzystwa przyrodników. Mówił profesor Radziszewski o rezultatach swych badań nad fosforescencją. O tych poszukiwaniach kilkakrotnie już wspominaliśmy w kronikach naukowych *Tygodnia*. Szanowny profesor streścił w swym wykładzie ostatnie wyniki, do których po pracy paroletniej doszedł.

Zjawisko fosforescencji należało dotychczas do rzeczy bardzo niejasnych i w najrozmaitszy sposób tłumaczonych. Otóż prof. Radziszewski pracami swemi przyczynił się do znacznego wyjaśnienia tej kwestji, oznaczył bowiem ściśle warunki chemiczne i fizyczne, w których się ta fosforescencja przejawia.

Dalej mówił dr. Żmurko, o swych przyrządach matematycznych. Wiadomo wszystkim jak wielkie zasługi położył szanowny profesor w tej sprawie, lecz zwykle ludzie niepracujący w matematycznych gałęziach wiedzy, nie zdawali sobie dobrze sprawy z pożytku i wagi tych instrumentów. Na wykładzie wtorkowym profesor Żmurko postawił sobie właśnie za zadanie wyłożyć w sposób popularny znaczenie wyrobionych przez siebie przyrządów.

Oba odczyty traktujące o sprawach tak ważnych, pomysłach i badaniach tak oryginalnych, że posiedzenie to do najlepszych i najbardziej zajmujących w roku zaliczyć należy, zajęły cały wieczór.

TEATR.

Ujrzeliśmy niedawno na scenie naszej »*Nerona*« — napisał go Pietro Cossa a przełożył K. Kaszewski a w części i przerobił.

Utwór ten posiadający wiele pięknych scen, dosyć ruchu, prawdy życiowej i historycznej, nie jest jednakże ani dramatem o ścisłem tego słowa znaczeniu, ani też komedją jak tego chce autor w przedmowie, którą prologiem nazywa.

Jest to coś w rodzaju obrazu dramatycznego, w którym autor widoczny kładzie nacisk na artystyczne usposobienie umysłu Nerona; w ten sposób ograniczył sobie pole i żadanie ułatwił, ale nie dał nam takiego Nerona, jakim go historja podaje, mimo że cytat historycznych i faktów w sztuce dosyć: nie jest to Neron cały, tylko kawałek Nerona. Tłumacz ujęty pięknością obrazowania, co w istocie stanowi główną zaletę sztuki — może za śmiało odezwiemy się, to utrzymując -- zaafektował się cokolwiek w przeróbce i to co w oryginale tchnie prostotą i związłością, ubrał miejscami w zbyt poetyczną szatę, piękną wprawdzie ale w każdym razie dodaną. Wygląda to na okrycie płaszczem kogoś, co tego wcale nie życzy i na przedłużenie niewygodne ogona u sukni cudzej, jakiem jest rozciągłość pewnych ustępów przerabiauych przez tłumacza, co zaszkodziło naszem zdaniem kilku efektownym scenom, jak n. p. w akcie 4, końcowej. Zwracamy tu mimochodem uwagę reżyserji że w takich razach obowiązkiem jej jest za długie tyrady odpowiednio przykrość bez uszczerbku dla autora a z korzyścią dla sztuki.

Pan Ładnowski grając tytułową rolę starał się wniknąć w myśl autora i dla tego może nie porwał wszystkich grą swoją. Wielu spodziewało się ujrzeć Nerona takim jakim wyobraźnia stawia go w umyśle naszym, czerpiącym swoje dane z historji, tymczasem ujrzeliśmy przedewszystkiem: artystę zabarwionego trochę zmysłowością. Szczyptą kilku zdań, pozwalających jedynie domyślać się tylko okrutnika nie zadowalnia naszej grozy, jaką w sercu piastujemy dla tej postaci Z gry artysty naszem zdaniem najwięcej wydobywał się imperator w obejściu z otoczeniem, pozujący na artystę zwykły mecenas sztuki i lubieżnik na wpół przeżyty, pewny siebie, ofiarę swego nałogu więcej niż namiętność pochłaniający, jako zwykłą przynależną mu część: tchórzostwo w grze artysty zmieniło się w żal za życiem i to mu chwalimy. Tem wszystkiem był Neron istotnie, ale był jeczcze i czemś więcej, o czem autor milczy Patrząc uważnie na grę i czytając tak oryginał jak i tłómaczenie, przychodzimy do przekonania, że artysta starał się uzupełnić własnemi studjami i pomysłem to, czego autor zaniedbał, jednak nie wiele to pomogło, gdy postać tak niewyczerpująco przez autora została podaną. Jedno słówko uwagi dla artysty; zbyt często widzimy u niego głowę ku jednemu ramieniu nadto pochyloną; w chwilach zadumy, miłośnego zachwytu, ma to pewien wdzięk nawet, ale zbyt często powtarzane razi nieco.

P. Nowakowskiej, Aktea, byłaby zupełnie, nawet bardzo dobrą kreacją, gdyby artystka nie wychodziła od czasu do czasu z charakteru i starała się cokolwiek więcej urozmaicić i żywiej atakować okresy swoich długich tyrad, a zaniechać zupełnie miękkości tonu, tej roli zupełnie nieodpowiadającej. O tej artystce przy zdarzonej sposobności pomówimy obszerniej, jako o jednej z lepszych a pomijanych w repertoarzu.

Pana Fiszera Menekratesowi radzimy trochę więcej humoru w konceptach, któremi bawi Nerona i więcej żółci w ironji; na tych przymiotach wszak artyście nie zbywa.

P. Podwyszyński wybornym był senatorem, na którego licu igra niezmiennie uśmiech służalcy w obec swego cesarza w chwilach nawet najboleśniejszych, jak dobrowolnego zrujnowania się na skinienie imperatora nierobiącego sobie nic wcale z tej jego ofiary.

P. Wisnowska jako Ekloga dość mile się przedstawiła, jednak zatrudna to dla niej rola i niewłaściwa. Ekloga, to nie naiwność dzisiejsza śniąca o złotych motylkach i bawiąca się kotkiem swywolnikiem, ale to młodość instynktowo szukająca sposobów zapełnienia serdecznej pustki, zaspokojenia pragnień żądnych tylko użycia, a bez świadomości głębszego morału igrająca z tygrysem. Niektóre odcienia tkliwości, tęsknoty za rodzinną ziemią, jakiemi autor ją obdarzył, to jedynie tylko protest gwałconych przez otaczający ją świat praw człowieka, których Ekloga nie pojmuje, czuje tylko potrzebę wynużenia, żalu, skargi nieświadomej źródła nawet w chwili zgonu. Musimy przytem wytknąć pani Wisnowskiej niestosowność ubioru. Był on za kusy i nieodpowiedni — trudnoby się domyśleć w nim tancerki i do tego greczynki. Dodać mu skrzydełka, a wyborny dla Skierka w Balladynie, lecz dla Eklogji, nigdy. Następnie w trzecim akcie winien być koniecznie zmienionym, boć Neron sam o to się postarał, aby jego model rzeźbiarski miał więcej malownicze ubranie. Przedewszystkiem winny być suknie długie, jakkolwiek uwidoczniające doskonałość kształtów.

P. Lubicz miał sobie przydzieloną niewłaściwą rolę, dla tego mimo chęci zrobienia wszystkiego, nie uczynił nic coby mogło umotywować następne słowa Nerona. Rolę tę powinien był grać p Woleński; choć mała, nastręczała jednak temu artyście pole do popisu tak pod względem wykazania przymiotów głosu dźwięcznego jak i deklamacji. Czemuż się jemu nie dostała? Czyżby przyjąć jej nie chciał dla tego że lekka na wagę? Wszak tylko handlarze potrzebujący papieru do obwijania towarów, baczą przy kupnie na ciężar jego, ale artysta takiej miary jak pan Woleński takiemi motywami kierować się nie może. Niech w tym wypadku reżyserja w piersi się uderzy.

P. Zboiński jako Petronius wyglądał przepysznie a grał jak było można sobie życzyć, i nie wysilił się też bo i zadanie nie było trudnem,

P. Tomaszewicz w roli Astrologa usiłował grać, ale, nie wchodzimy w przyczyny, zdawało się, że pamięcią roli dobrze nie objął, trudnoż w takim razie grę jego rozbierać.

P. Kasprowicz jako Faon zasługuje na wyszczególnienie z pomiędzy mniejszych ról w sztuce, jego zachowanie się przy samobójstwie Nerona było, jak na tak młodego aktora, bardzo przyzwoite. Ta zręczna pomoc przy użyciu sztyletu podczas wahania się Nerona, odwrócenie się spowodowane grozą chwili a znamionujące zarazem boleść wdzięcznego wyzwoleńca, dają nam poznać w p. Kasprowiczu aktora przejmującego się sytuacją na serjo. Tylko tak dalej a częściej.

P. Galasiewicz w roli właściciela gospody miał doskonałą chwilę mimiczną, gdy pod wzrokiem Nerona twarz jego przybiera wyraz przestrachu łamiącego się z komicznem wykrzywieniem

Inne role pomniejsze, każda dla siebie, były odegrane znośnie, lecz się nie dostrajały do ogólnej harmonji. Wystawa pod względem dekoracji i kostjumów pozostawiała wiele do życzenia, mimo że pozornie była staranną.

G.....la

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura

— Teofil Lenartowicz, napisał prześliczny poemacik, p. t „Jagoda mazowieckich lasów“, z którego wyjątki podajemy dziś pod właściwą rubryką. Utwór ten, w tych dniach dopiero wydrukowany w Poznaniu, dotąd nie znajduje się jeszcze w handlu księgarskim.

*** W Paryżu opuścił prasę, nakładem księgarni luksemburskiej, zbiór drobnych utworów wieszcza Adama, dotąd niewydanych.

Tom ten, zatytułowany „Mélanges postumes,“ opatrzony jest wstępem i uwagami syna nieśmiertelnego wieszcza

*** Dowiadujemy się, iż nowella Litwosa „Janko muzykant“, przełożona na język francuski przez panią P. z G., sprawiła wielkie wrażenie w Brukseli.

Szczegóły te poczerpnięte z listu p. Bufle, syndyka oświaty publicznej w Belgji i znanego literata.

*** W handlu księgarskim ukazała się powieść dwutomowa J. I. Kraszewskiego, pod tytułem: „Ładny chłopiec“.

*** Świeżo opuścił prasę drugi tom dzieł Litwosa (Henryka Sienkiewicza).

Tom ten zawiera w sobie „Listy z podróży,“ dokończenie których zamieszczone zostanie w tomie trzecim.

„Listy“ te drukowane były w swoim czasie w „Gazecie polskiej“ i obudziły już wtenczas prawdziwe zajęcie w szerszych kołach czytającej publiczności.

*** F. Wł. Hovorka przełożył na język czeski dwie powieści Kraszewskiego: „Miljon posagu“ i „Stary sługa“.

*** „Skarb“ „Le trésor“, najnowszy poemacik dramatyczny Fr. Copégo, przełożony został na język polski.

*** Najnowsza powieść Dracka „M-me Lise“ tłómaczona jest na język polski.

*** Papież mianował komisję, złożoną z trzech kardynałów, De Luca, Simeoni i Zigliara, dla doglądania i kierowania wydaniem wszystkich dzieł św. Tomasza z Akwinu; na publikację tę przeznaczono 300,000 franków.

*** Nr. 5. „Gazety Rolniczej“ z r. b. zawiera: 1. W sprawie wyborów do Władz Towarzystwa Kredytowego, przez H. Wiercieńskiego. 2. Teorja a praktyka w gospodarstwie wiejskiem przez dr. Juljusza Au. 3 Przyrodnicze podstawy hodowli zwierząt przez prof. Z. Kahane. 4. Zjawiska psucia się i gnicia drzewa, przez dr. J. Kamieńskiego. 5. Sprawozdanie ze zwiedzania niektórych majątków krajowych, przez dr. T. Kowalskiego 6. Kongres rolników austrjackich w Wiedniu. 7. Przegląd polityczny. 8. Wiadomości bieżące. 9. Rozmaitości. 10. Poradnik gospodarski. 11. Kurjer rolniczy. 12. Fejleton zawiera pogadanki z różnych stron świata przez Faustyna Bicza.

Nauka

*** Pan Józef Boguski miał w Warszawie ciekawy odczyt o pracach przyrodników polskich, dokonanych w trzech pierwszych dziesiątkach wieku bieżącego.

Rys ten historyczny rozpoczął prelegent wzmianką o Józefie Rogalińskim, który w roku 1763 wydał pierwszy podręcznik polski fizyki i pierwszy zarazem usiłował dać początek słownictwu polskiemu.

Niejeden z pomysłów naukowych Rogalińkiego godzien uwagi, a szczególniej projekt, ażeby długość wahadła sekundowego służyła za jednostkę miary.

Wspomniawszy o ks. Wiśniewskim, prelegent mówił z kolei o trzecim przyrodniku w tej epoce, Józefie Osińskim, autorze fizyki, wydanej w roku 1800, w której jednak bardzo obszerny dział poświęcił chemji.

Osiński napisał też dzieło o ważniejszych odkryciach.

W tymże czasie ks. Aleksander Sapieha po równał naukowo łokieć z metrem i dokonał badań nad żelazem, Michał zaś Hube traktował w swych pracach o żelazie.

Na utorowaną niejako drogę przez tych pierwszych przyrodników naszych wstępuje dalej szereg gorliwych pracowników, wnoszących już w sferę nauki owoce doświadczeń i spostrzeżeń.

Opiekę nad nimi rozpościera Towarzystwo przyjaciół nauk

W zastępie tych przyrodników wybitnieje Karol Kortum.

Pracował on użytecznie nad fosforescencją i urządzeniem piorunochronów, czyniąc przytem doświadczenia meteorologiczne.

Dziedzinę chemji uprawiał Jędrzej Śniadecki.

Napisał on podręcznik chemji i kilka broszur, wszelako, według prelegenta, pracom tym brak dostatecznych doświadczeń.

Co się tyczy Jana Śniadeckiego, stoi on wyżej pod tym względem od Jędrzeja, gdyż prace swe opierał na doświadczeniach gruntownych.

Wymierzył on też, jak nadmienił pan Boguski, szerokość jeograficzną Krakowa.

Wśród pracowników wybitniejszych w okresie rzeczonym wyróżnia się izraelita samouczek, Abraham Stern, wynalazca maszynki rachunkowej do wykonywania czterech działań arytmetycznych.

Maszynkę tę zastosował Stern następnie do podnoszenia potęg i do wyciągania pierwiastków.

Z innych pomysłów Sterna wyszczególnić należy: żniwiarkę, tartak, młocarnię i wózek geodezyjny do zdejmowania rysunków granic.

Dmuchawkę do otrzymywania wysokich temperatur wynalazł Aleksander Chodkiewicz, ulepszył zaś ją dr. Mille, któremu też zawdzięczamy barometr wagowy i przyrząd do wytwarzania próżni na zasadzie barometrycznej.

Wreszcie prelegent poczynił kilka krótkich wzmianek o profesorach i uczonych, Celińskim, Kitajewskim, Skrodzkim, Kranzem.

Dwaj pierwsi pracowali nad analizą wód, Skrodzki zaś między innymi był gorliwym popieraczem zakładania gabinetów fizycznych.

Kranz wynalazł cyrkiel do mierzenia walców i napisał rzecz o żelazie suchedniowskiem.

Przyroda w tych latach coraz większe zaczyna już budzić w szerszych kołach ogółu uznanie.

Tadeusz Czacki proponuje, ażeby przy wszystkich średnich zakładach naukowych urządzone zostały stacje doświadczalne meteorologiczne.

W ogóle okres, w trzech pierwszych dziesiątkach bieżącego stulecia zawarty, był czasem doniosłych badań w dziedzinie nauk przyrodniczych.

Że zaś wynik prac badaczy z owej epoki nie dorównał owocom studjów uczonych zagranicznych, winić za to nie należy pracowników naszych, lecz przypisać to trzeba brakowi gabinetów i pracowni doświadczalnych, który stanowił natenczas ważny szkopuł na drodze rozwoju pomienionej gałęzi wiedzy.

*** Według obliczeń astronomów, pojawić się mają w r. b. dwie komety!

Jedna z nich nosi nazwisko Winneckego, druga Fayea.

Pierwsza już po czterykroć była obserwowaną: pierwszy raz w r. 1819, ostatni r. 1875.

Czas jej biegu wynosi około półszosta roku.

Kometa Fayea, która zbliża się do ziemi tylko raz na 7.413 lat, już w październiku r. b. widzianą będzie przez teleskop, lubo największe zbliżenie się jej do słońca przypada dopiero na styczeń roku 1881.

Sztuki piękne.

*** Matejko wykończył dwa nowe mniejszych rozmiarów obrazy historyczne.

Jeden wyobraża „Zamordowanie Andrzeja Tęczyńskiego w kościele franciszkańskim w Krakowie roku 1461“.

Drugi przedstawia „Ugodowe starania pomiędzy zwaśnionymi Zbigniewem a Bolesławem Krzywoustym, synami Władysława Hermana“.

*** Pisma warszawskie pomieszczają bardzo pochlebne oceny obrazu p. Jana Moniuszki, „Pierwsze spotkanie Jadwigi z Jagiełłą.“

Według zdania sprawozdawców, dzieło to daje dowód talentu i dobrą wróżbę dla przyszłości młodego artysty.

P. Moniuszko syn naszego znakomitego kompozytora, po spieniężeniu obrazu zamierza wyjechać

do Krakowa dla dokończenia wykształcenia pod kierunkiem Matejki.

*** Od niejakiego czasu budzi powszechną uwagę na wystawie Towarzystwa Sztuk Pięknych w Warszawie obraz wielkich rozmiarów Tytusa Pileckiego, przedstawiający „Goplanę wylaniającą się z wód toni."

Obraz ten poetyczną swą treścią rzeczywiście zachwycić musi, a wykonanie jego nie pozostawia nic do życzenia.

P. Pilecki od dosyć dawnego czasu z powodzeniem pracuje na polu sztuki, jest on uczniem Wagnera i Pilatiego, „Goplana" jednak jest pierwszem jego dziełem, jakie kraj ogląda.

W pracowni artysty znajduje się pyszny szkic do wielkiego historycznego obrazu, przedstawiający „Poselstwo Zygmunta I. wysłane z prośbą o rękę Bony."

Szkic zapowiada dzieło niepospolite.

*** Nowe prace Andriollego.

Andriolli zabrał się w tych dniach do nowych prac, które w bieżącym jeszcze roku wykończyć ma na zamówienie p. S. Lewentala.

Będzie to najpierw cały szereg illustracji do „Konrada Wallenroda", którego nową, bogatą edycję przygotowuje p. Lewental na rok przyszły.

Illustrator „Starej baśni", „Dęboroga", „Pamiętników kwestarza" i „Marji" niewątpliwie i z tego zadania potrafi się wywiązać zwycięzko, czego śmiało po jego talencie, poetyckim natchnieniu i niezmordowanej twórczości spodziewać się możemy.

Drugie wydawnictwo ma zareklamować sztukę naszą dziełem pomnikowej wartości, któreby dla wszystkich narodowości było jednako zrozumiałem i jednako cennym nabytkiem.

Dziełem tem ma być modlitwa Pańska „Ojcze nasz," wydanana w języku polskim i łacińskim z odpowiedniemi rysunkami, ozdobiona bogatemi inicjałami, emblematami, kolorowanym drukiem, słowem w edycji nie bywałej dotychczas w żadnem wydawnictwie europejskiem.

Zjawiska przyrody.

*** W „Neapolu" w zeszłym tygodniu spadły ponownie wielkie śniegi.

*** W „Odesie" W tych dniach obserwowano wieczorem w okolicy miasta świetlany snop, albo też słup kształtu komety, lecz bez rdzeni ciała kometowego; przypuszczają, iż było to światło zodyakalne.

Rozmyślania nad życiem i sztuką. *)

Francuski pisarz, choć nie zawsze znajduje czytelnika, zawsze znajdzie Niemca, który go przetłumaczy.

Głupota występuje wszędzie samodzielnie: czuje się bowiem w masie.

Kto przeczytawszy dzieła filozofów, sądzi, iż zna świat, podobnym jest do tego, który posiadając wizerunki wielu monet mnie się być bogatym.

Poeta otwiera wam drzwi, wejść przez nie musicie sami.

Prawdziwą komedją jest ta, w której gra sama publiczność.

Wiele wody, to jeszcze nie rzeka.

Lot, nie pióra ptaka stanowią.

Do potrzebnej przedmowy należy zwykle niepotrzebna książka.

— O zły gruncie! — wykrzyknął wbity w ziemię słup — gdybyś był lepszym, dawno już miałbym liście i owoce.

Napróżno sadzisz obce rośliny na gruncie, który nigdy własnych nie wydał.

*) Ze świeżo wydanej książki *Gedanken über Leben und Kunst* von J. J. Mohr.

Wielu poezjom brak tylko jednej rzeczy, by zachwycały dowcipnego krytyka.

Wielcy ludzie po śmierci nie budzą w nas już zawiści, gdyż uważamy się za ich spadkobierców.

Nie zabieramy nic z tego świata, ale powinniśmy coś mu zostawić.

Ateny i Florencja swobodne miasta, wygnały Arystydesa i Dante'a; ale ich za to urodziły i wychowały.

Prawo rzadko zwycięża; ale gdy zwycięży, przestaje być prawem.

Natury obdarzone głębokim umysłem czują czasami potrzebę powrócenia do ludzi.

Próżny, ażeby być widzianym, wejdzie na mogiłę swej matki.

Piłka rzucana z ręki do ręki — to obraz sławy niejednego pisarza.

Dzieci naszych obecnych poetów mają wielu kumów.

Kto chce coś rozsądnego powiedzieć, powinien zapomnieć, co inni mówili.

Gdy kto ma nowe buty na nogach, nie znaczy to jeszcze, że idzie nową drogą.

Każde dzieło sztuki stanowi zwierciadło; co w niem widzicie, o niem myślicie i czujecie, to jest już waszą rzeczą.

Jak Rubinstein gra?

—?— W jednym z numerów amerykańskiej gazety: «New York Music Trade Review», który wpadł nam pod rękę, znajdujemy oryginalnie dziwaczny opis gry Rubinsteina na fortepianie.

Opis ten maluje z całą dosadnością charakter amerykańskiej krytyki i wartość tamtejszych pojęć estetycznych wskazując w drastyczny sposób, co widzi i słyszy w sztuce zaatlantycki znawca.

Oto co pisze krytyk gazety nowojorskiej, poświęconej muzyce:

«... Teraz Rubinstein zmienił znowu swój temat.

«Pląsał on teraz i tańcował wzdłuż całej klawiatury... grał łagodnie, spokojnie i uroczyście... słyszałem dzwonki kościelne na górach, światła niebios zapalały się jedno po drugiem... widziałem wschodzące gwiazdy... wielkie organy wieczności poczęły grać nokturn o skończeniu świata...

«Potem stała się muzyka podobną do wody i sączyła się: tip, tap, tip, tap, czysta i słodka, jak łzy radości, które padają w morze blasku.

«Zrobiło się jeszcze słodziej.

«Było tak słodko, jak gdyby kto cukierek obsypał białym puchem cukrowym, zmięszanym ze sproszkowanem srebrem i djamencikami.

«Było za słodko!

«Powiadam wam, publiczność szalała z rozkoszy...

«Rubinstein wykonał rodzaj ukłonu, jak gdyby chciał przytem powiedzieć:

— «Bardzo obowiązany, ale wolałbym, abyście mi nie przerywali.

«Zatrzymał się przez minutę lub dwie, aby zaczerpnąć powietrza.

«A teraz — oszalał...

«Przesunął rękę pomiędzy wlosami, podniósł w górę ramiona jak wachlarze, poły od surduta rozsunął szerzej, stołek swój wyżej podkręcił, wygiął się cały naprzód, i rzucił z całą furją na biedne fortepianisko.!.

«Policzkował go, ciągnął za nos, szczypał za uszy, drapał mu twarz, aż fortepian zaczął formalnie krzyczyć.

«Mistrz powalił go na ziemię i deptał haniebnie nogami.

«Instrument wył jak wół, beczał jak cielę, skowyczał jak pies, kwiczał jak prosię, zgrzytał jak szczur, ale mistrz nie puszczał go z pod lwiej ręki.

«Potem rzucił się szalonym cwałem w najgłębsze pieczary basu, aż dopóki nie dotarł do samych wnętrzności ziemi...

Teraz słyszałeś jeden piorun po drugim, galopujący przez jaskinie i przepaście.

«Potem rozpoczął lisią gonitwę jednej ręki za drugą, aż z najwyższego dyskantu puścił się w chmury, kędy nuty nabrały delikatniejszej jeszcze wiotkości, aniżeli główki od igły i nie można było nic słyszeć oprócz cienia tonów.

«I teraz jeszcze nie uwolnił mistrz zrozpaczonego instrumentu.

«Parami naprzód! damy na prawo! mężczyźni na lewo! «balancez!» w prawo i w lewo «chassez!» na miejscu! «ronde!» damy w lewo «chaîne des dames» — polonez, — tędy i owędy — w tył i naprzód — istne «perpetum mobile», powikłane w czterysta czterdzieści tysięcy węzłów i nitek.

«Był to chaos...

«A jednak mistrz nie oswobodził jeszcze i teraz z pod palców swego męczennika w palisandrowej skrzynce.

«Zakomenderował na swoje prawe skrzydło, potem na lewe, potem na centrum.

«Otworzył ogień karabinowy, następnie wprowadził w bój działa: tu oblężnicze, tam dwunastofuntowe, wielkie, małe i średnie, granaty, bomby, szrapnele, kartacze, moździerze, całe miny i magazyny prochu, wszystkie baterje i bomby na raz!

«Dom trząsł się, świeczniki tańcowały, ściany klekotały, podłoga lazła do góry a powała na dół.

«Firmament zjeżył szerść, ziemia i niebo drżały...

«Sąd ostateczny — sałata z kartofli — szturm Tytanów na Olimp — proszę rumu za dziesięć penny — «o du lieber Augustin!...»

«Sułtanem dobrze być! — droga Anusiu, ja twój kum! rum rum rum, rudel, dudel, dum, didel didel didel didel, idel dadel, idel, dadel, didel dum!

«Przy tem «finale» Rubinstein podniósł się całem ciałem w powietrze, i z obu kolanami, z dziesięciu rękami i nogami, z łokciami i nosem rzucił się na fortepian, tłukąc we wszystkie od razu klawisze.

«Fortepian rozpłynął się w siedmdziesiąt pięć tysięcy, pięćset czterdzieści i dwa dmi-demi-semi-trylów...

«Straciłem zmysły!

«Kiedym znowu przyszedł do siebie, znalazłem się o jakie dwadzieścia stóp pod ziemią, w knajpie przezwanej «skorupą ostrygi», gdzie raczyłem yankesa, którego nigdy przedtem nie widziałem.

«Dzień począł świtać, gdym powracał do mego hotelu i daję wam słowo honoru: nie pamiętałem własnego nazwiska.

«Portier zapytał o numer mego pokoju, na co mu odpowiedziałem:

«« — Proszę o porcję ciepłej muzyki na dwie osoby.»

Tak się piszą recenzje o sztuce w ojczyźnie Barnuma.

Od Redakcji.

Szanownych prenumeratorów, którzy nie zbierają kompletów Tygodnia, najuprzejmiej upraszamy o nadesłanie nam Zeszytu 2. z r. b. Numer ten bowiem Tygodnia jest już na wyczerpaniu a potrzebny nam jest dla nowych, licznie przybywających prenumeratorów.

Należność za ten Zeszyt w kw. 50 cnt. Szan. Prenumeratorowie mogą potrącić przy nadsyłaniu przedpłaty na II. kwartał.

Treść Nr. 6.

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.